



Europa w strategii Baracka Obamy (2009-2012)

Jadwiga Kiwerska

- Jednym z najważniejszych zadań, jakie stanęło przed prezydentem Barackiem Obamą w 2009 r., była poprawa kondycji układu transatlantyckiego, przywrócenie mu koherencji, skuteczności, a nawet sensu istnienia. Ameryka jako najsilniejszy filar wspólnoty transatlantyckiej miała w tym procesie do odegrania rolę główną, jakkolwiek wiele też zależało od partnerów europejskich.
- Dla strony amerykańskiej głównym wyznacznikiem jej polityki europejskiej była gotowość Europy do pełnienia roli ważnego gracza na arenie międzynarodowej i tym samym skutecznego partnera, którego Ameryka potrzebowała w świecie zmierzającym ku wielobiegunowości i borykającym się z różnymi problemami. Jednak kierowane pod adresem Starego Świata oczekiwania w dużej mierze nie zostały spełnione – w amerykańskiej ocenie Europa pozostała zbyt zróżnicowana i asertywna.
- Kontynent europejski przestał być dla Stanów Zjednoczonych regionem o pierwszorzędnym znaczeniu i obiektem szczególnej troski w zakresie bezpieczeństwa. Konieczność konkurowania z innymi siłami geopolitycznymi, w tym szczególnie z Chinami, spowodowała „zwrot ku Pacyfikowi”, co z pewnością nie służyło wzmocnieniu układu transatlantyckiego.
- Niektóre działania i gesty USA rozczarowały europejskich sojuszników. Gdy w orbicie amerykańskiej polityki koncyliacyjnej znalazła się Rosja („resetowanie” stosunków), efektem tego było osłabienie zaufania do Waszyngtonu w stolicach państw Europy Środkowo-Wschodniej.
- Bilans pierwszej kadencji Baracka Obamy w stosunkach z Europą to z jednej strony poczucie marginalizacji Starego Świata w globalnej polityce USA, z drugiej zaś – utrzymująca się inercja państw europejskich w odniesieniu do wielu wyzwań współczesnego świata, rozczarowująca dla administracji amerykańskiej. W efekcie powstaje wrażenie dalszego, wzajemnego oddalania się Europy/UE i Stanów Zjednoczonych.

W serii ukazały się:

Nr 1(I)

Historia i pamięć: masowe przesiedlenia 1939-1945-1949

Nr 2 (I)

Odradzanie się społeczeństwa obywatelskiego.
Rozwój polskiego trzeciego sektora w latach 1989-2008

Nr 3(I)

Międzynarodowa solidarność.
Operacje pokojowe ONZ -NATO -UE

Nr 4 (I)

Polska i Niemcy w Unii Europejskiej (2004-2009).
Główne problemy i wyzwania

Nr 5(I)

Przyszłość NATO – trudne decyzje

Nr 6(I)

Mocarstwowe aspiracje Niemiec w Europie XXI wieku:
realia i perspektywy (Raport z badań)

Nr 7(I)

Stany Zjednoczone wobec kryzysów regionalnych
– aspekt transatlantycki

Nr 8(I)

Dynamika niemieckiej opinii publicznej.
Wizerunek Polski i Polaków w Niemczech

Nr 9 (I)

Dynamika niemieckiej opinii publicznej. Pozycja partii politycznych
na podstawie sondaży i wyników wyborów do parlamentów krajowych
(2011-2012)

Jadwiga Kiwerska

**Europa
w strategii
Baracka Obamy
(2009-2012)**



INSTYTUT ZACHODNI

Seria wydawnicza: „IZ Policy Papers” nr 10(I)

Redakcja serii: Joanna Dobrowolska-Polak (red. naczelna)
Marta Götz
Marcin Tujdowski

Opracowanie redakcyjne: Anna Murawska
Koncepcja graficzna: Ewa Wąsowska

© Copyright by Instytut Zachodni

Poznań 2013 (wersja elektroniczna)
Poznań 2013 (wersja drukowana)

Wydawca: INSTYTUT ZACHODNI
61-854 Poznań, ul. Mostowa 27
tel. 61 852 76 91
tel 61 852 28 54 (wydawnictwo)
fax 61 852 49 05
e-mail: wydawnictwo@iz.poznan.pl
www.iz.poznan.pl

ISBN 978-83-61736-43-1

Opracowanie przygotowane w ramach projektu finansowanego
przez Narodowe Centrum Nauki nr NN 116 453540
„USA-Europa. Wyzwania, trendy, perspektywy”
realizowanego w Instytucie Zachodnim w latach 2011-2013

Spis treści

| | |
|--|----|
| Niełatwy punkt wyjścia | 7 |
| Odbudowa wizerunku Ameryki | 19 |
| <i>NATO</i> , Afganistan, nowa strategia | 28 |
| Arabska wiosna i interwencja w Libii | 42 |
| Amerykańskie i europejskie rozczarowania | 58 |

Niełatwy punkt wyjścia

Jednym z ważniejszych problemów, jaki stanął przed nowym amerykańskim prezydentem – Barackiem Obamą, gdy w styczniu 2009 r. wprowadził się do Białego Domu, była przyszłość układu transatlantyckiego. Do niedawna najbardziej pomyślny alians polityczno-wojskowy w historii, tak silnie spajający Amerykę i Europę w ubiegłym stuleciu, wskutek różnych przyczyn i okoliczności znalazł się pod koniec pierwszej dekady XXI w. w złej kondycji. Taką spuściznę po okresie urzędowania pozostawił w spadku swojemu następcy prezydent George W. Bush. Jakkolwiek trudno było tylko jemu przypisywać odpowiedzialność za bezprecedensowe załamanie w układzie transatlantyckim, to z pewnością od działań Waszyngtonu i nowej administracji zależało w dużej mierze, czy uda się przywrócić relacjom amerykańsko-europejskim znaczenie i rangę. Takie oczekiwania kierowano pod adresem prezydenta Obamy.

Pierwszy czarnoskóry prezydent USA obejmował najwyższy urząd w państwie w niezwykle trudnym momencie. Chodziło nie tylko o pogarszającą się sytuację finansową w kraju i na świecie, wpędzającą Stany Zjednoczone, podobnie jak wiele innych państw, w największy od dziesiętków lat kryzys gospodarczy. Także w sensie politycznym i geopolitycznym sytuacja była szczególna. Przede wszystkim zdawał się odchodzić w przeszłość porządek, który wyłonił się po zakończeniu zimnej wojny – świat jednobiegunowy, zdominowany i kształtowany w dużej mierze przez *Pax Americana*¹. Taki porządek istniał przez lata dziewięćdziesiąte ubiegłego stulecia, gdy to USA cieszyły się statusem jedyne supermocarstwa, łącząc w sobie bezprecedensowy potencjał militarny, gospodarczy, technologiczny i kulturowy². Można było wówczas odnieść wrażenie, że to Stany Zjednoczone wyznaczają standardy, normy i wartości, kreują sytuację międzynarodową i mają decydujący wpływ na rozwiązywanie głównych konfliktów, pozytywnie też oddziałują na kondycję wspólnoty transatlantyckiej. Wydawało się, że w najbliższej przyszłości takiej roli Ameryki nic nie zagrozi.

Rzeczywiście, pod koniec pierwszej dekady XXI w. bezwzględne wyznaczniki potęgi amerykańskiej nadal pozostały znaczące. Pomimo trudnych interwencji w Iraku i Afganistanie państwo amerykańskie cały czas powiększało swój potencjał militarny (roczne koszty obecności zbrojnej USA w tych dwóch krajach – 125 mld dol. – stanowiły wówczas mniej niż 1 proc. amerykańskiego PKB). Nakłady budżetowe Ameryki na obronę – ponad 500 mld dol. (nie licząc wydatków na operacje w Iraku i Afganistanie) – pokrywały blisko 50 proc. światowych wydatków zbrojeniowych (więcej niż łączne nakłady kolejnych

¹ Formułę jednobiegunowości, jako porządku zdominowanego przez USA, wykreował ponad dwie dekady temu Charles Krauthammer. On również przewidywał nadejście wielobiegunowości: „Za mniej więcej jedno pokolenie pojawią się państwa dorównujące swoją potęgą Stanom Zjednoczonym i świat będzie w swojej strukturze przypominał epokę sprzed I wojny światowej” (Ch. Krauthammer, *The Lonely Superpowers*, „Foreign Affairs” 1990).

² Zob. Z. Brzeziński, *Wielka szachownica. Główne cele polityki amerykańskiej*, Warszawa 1998, s. 27-28.

na liście 14 państw, które najwięcej łożyły na obronę)³. W rezultacie utrzymywała się dominacja Stanów Zjednoczonych we wszystkich rodzajach wojsk: lądowych, marynarce, siłach powietrznych. Amerykańskie siły zbrojne jako jedyne mogły operować w odległych regionach świata, dysponując odpowiednią logistyką, zaopatrzeniem, środkami transportu.

Silna nadal wydawała się amerykańska baza ekonomiczna oraz technologiczna, i to pomimo obserwowanych kłopotów finansowych Stanów Zjednoczonych – słabego dolara, perturbacji na rynku nieruchomości i zadłużenia hipotecznego Amerykanów, wreszcie wysokiego deficytu budżetowego (w 2008 r. przekroczył on 400 mld dol.). Jednak gospodarka amerykańska była jeszcze najsilniejsza i najbardziej konkurencyjna na świecie. Starczy powiedzieć, że PKB USA osiągnął wartość około 14 bln dol. (PKB Rosji to zaledwie 10 proc. amerykańskiego) i jego wzrost w ciągu 25 lat był większy niż w Europie czy Japonii⁴.

Wszystko to jednak nie powinno przesłaniać względnego spadku potęgi USA. Udział Ameryki w światowym imporcie wynosił wówczas zaledwie 15 proc. Wprawdzie jej PKB stanowił jedną czwartą produktu globalnego, ale proporcja ta malała, ponieważ potęgi azjatyckie, w tym przede wszystkim Chiny rozwijały się znacznie szybciej niż Stany Zjednoczone. Prymat Ameryki podważany był także w innych dziedzinach. Chociaż amerykański potencjał militarny wydawał się nie mieć sobie równych, a w okresie prezydentury Busha wzrosła liczba amerykańskich baz w świecie (m.in. na pewien czas pojawiły się one w niektórych byłych republikach radzieckich), to jednak w tym samym okresie USA doświadczyły wojskowych porażek. Nie udało się w pełni spacyfikować, pomimo pięciu lat okupacji, dwudziestoczworomilionowego Iraku. Wprawdzie strategia realizowana od 2007 r. przez gen. Davida Petrausa odnosiła sukcesy, to jednak do pełnego powodzenia było jeszcze daleko. Podobnie, a może nawet gorzej wyglądała sytuacja w Afganistanie, gdzie USA i ich sojusznicy napotykali coraz silniejszy opór talibów i innych zbrojnych grup. Podważało to tezę o efektywności militarnej Stanów Zjednoczonych.

Wszystkiemu temu towarzyszyło osłabienie politycznych wpływów Ameryki w świecie, skłaniające do postawienia tezy o schyłku jej supremacji. Nie ma przesady w stwierdzeniu, że dyskusja na ten temat opanowała pod koniec urzędowania Busha amerykańską publicystykę, prowadzona też była w gronie czołowych amerykańskich politologów i specjalistów w zakresie stosunków międzynarodowych. Tak jak po zakończeniu zimnej wojny – za czasów Busha seniora – w Stanach Zjednoczonych podjęto narodową debatę na temat amerykańskiej strategii w nadchodzących latach, tak teraz – u kresu prezydentury Busha juniora – zastanawiano się nad zmianą roli i znaczenia Ameryki w świecie, nad wielce prawdopodobnym zmierzchem jej supermocarstwa. Jedni autorzy analizowali przyczyny tego procesu, jego przejawy i konsekwencje, inni natomiast polemizowali z tak kategorycznymi wizjami kresu amerykańskiego prymatu.

³ Wg F. Zakaria, *The Future of American Power*, "Foreign Affairs" May/June 2008, nr 3, s. 27.

⁴ *Ibidem*.

W dyskusji tej uczestniczyli analitycy, którzy swego czasu prorokowali wyłonienie się porządku zdominowanego przez charakterystyczne dla Ameryki wartości i zasady: demokrację, liberalizm. I tak Francis Fukuyama, odchodząc od sformułowanej przez siebie tezy o „końcu historii”, pisał wręcz o postamerykańskim świecie, w którym następuje ekspansja krajów azjatyckich, także państw słabych, lecz o rosnącej sile oddziaływania, reprezentujących odmienne od Zachodu standardy i wartości⁵. Głos w tej debacie zabierał Zbigniew Brzeziński, który już przed laty pisał, że Amerykanie powinni traktować przywództwo swego kraju jako sytuację przejściową. Teraz głosił pogląd, że Stany Zjednoczone roztrwoniły ogromną część swego prestiżu, a administracja Busha katastrofalnie zaszkodziła pozycji Ameryki w świecie. Nie przekreślał jednak szans Stanów Zjednoczonych w przyszłości⁶. Dowodził, że „USA są nadal kręgosłupem świata. Gospodarczym, wojskowym i politycznym. Nie widać żadnego kraju czy nawet grupy państw, które mogłyby zastąpić Amerykę w tej roli”⁷.

Z kolei modny już wówczas politolog Parag Khanna przyczyny utraty przez Amerykę przywództwa w świecie, dostrzegał zarówno po stronie amerykańskiej, jak i w warunkach zewnętrznych. Jego zdaniem hegemonizm Ameryki wywołał dyplomatyczne i gospodarcze kontrposunięcia, które miały na celu osłabienie amerykańskiej pozycji i budowę alternatywnego – wielobiegunowego – porządku światowego. I dalej dowodził, że Ameryka musi raz na zawsze pozbyć się imperialnych pretensji⁸. Z kolei politolog i dyplomata Richard N. Haass, dostrzegając zmierzch dominacji USA, rysował nowy układ, w którym nie ma wielobiegunowości, gdyż istnieje tak dużo nowych, alternatywnych ośrodków władzy, że trwać będzie nieustanna walka o wpływy⁹. Podobny w swych sądach był Fared Zakaria, którego zdaniem Ameryka jako mocarstwo upada, a w powstającym nowym systemie globalnym do głosu dochodzi coraz więcej państw. Korzystają one z dobrej koniunktury gospodarczej i chcą w większym stopniu uczestniczyć w kreowaniu spraw świata¹⁰.

Na przeciwnym biegunie toczącej się w Stanach Zjednoczonych dyskusji pozostał Robert Kagan, czołowy konserwatywny publicysta. Dla niego Ameryka była nadal naturalnym liderem obozu demokratycznego, a szerzenie demokracji stanowiło jej najważniejsze zadanie¹¹. Także Joseph Nye, autor

⁵ F. Fukuyama, *Epoka słabych państw*, „Europa”. Dodatek do „Dziennika” 16 VIII 2008.

⁶ Z. Brzeziński, *Druga szansa. Trzej prezydenci i kryzys amerykańskiego supermocarstwa*, Warszawa 2008.

⁷ Z. Brzeziński, *Jak się nie porozumiemy, to się pozabijamy*, „Gazeta Wyborcza” 14-15 III 2009.

⁸ P. Khanna, *The Second World: Empires and Influence in the New Global Order* (2008); zob. tegoż *Pożegnanie z hegemonią*, „Europa”. Dodatek do „Dziennika” 17 V 2008.

⁹ R. N. Haass, *Świat po Ameryce*. Pierwotnie artykuł ten ukazał się w „Foreign Affairs” (May/June 2008, No. 3) pt. *The Age of Nonpolarity*.

¹⁰ F. Zakaria, *The Post-American World*, New York 2008. Zob. idem, *The Future of American Power*. Po objęciu urzędu przez B. Obamę, amerykański politolog zmienił nieco swą tezę. Przyznając, że USA wprawdzie nie dysponują już takimi atutami, jakie miały w 1945 albo jeszcze w 2000 r., stwierdził jednak „wciąż są silniejsze niż jakiekolwiek inne państwo (...), toteż nikt nie zajmie ich miejsca, przynajmniej w przewidywalnej przyszłości” (F. Zakaria, *Pośrednik zamiast hegemonia*, „Europa”. Dodatek do „Dziennika” 7-8 III 2009).

¹¹ R. Kagan, *The Return of History and the End of Dreams* (2008); zob. idem, *Koniec marzeń, powrót historii*, „Europa”. Dodatek do „Dziennika” 16 II 2007.

popularnego pojęcia *soft power*, dowodził, że choć amerykańskie działania w polityce zagranicznej spotykają się z powszechną krytyką, to jednak atrakcyjność Ameryki, jej wartości i zasady, kultura i dorobek cywilizacyjny nie uległy deprecjacji¹².

Zarówno z prowadzonej wówczas w Stanach Zjednoczonych debaty ekspertów, jak i kształtowanej realnie sytuacji w świecie płynął jeden zasadniczy wniosek, że zmniejszyła się amerykańska zdolność wpływania na bieg spraw, wywierania presji zarówno na państwa silne, jak i słabe. Ameryka, choć nadal w liczbach bezwzględnych pozostała państwem potężnym, nie była już postrzegana jako mocarstwo wszechmocne, zdolne albo siłą swej woli, albo przy wsparciu bezprecedensowego potencjału militarnego, czy też stosując presję dyplomatyczną zrealizować w pełni swe cele. Osłabła amerykańska zdolność kreowania sytuacji międzynarodowej i rozwiązywania problemów. Stanom Zjednoczonym było znacznie trudniej niż poprzednio skrzyknąć innych, narzucić swój punkt widzenia i wspólnie działać na arenie międzynarodowej. Mogło to oznaczać, że tracą one przywództwo, nawet jeśli *de facto* chodziło o przywództwo tylko w świecie Zachodu.

Nietrudno było znaleźć tego przyczyny. Siła Ameryki przez dziesięciolecia brała się m.in. z wyznawanych przez nią wartości i zasad, niemalże modelowego rozwoju, konsekwentnego propagowania wolności i demokracji, czyli dysponowania ową „miękką władzą”, o której pisał J. S. Nye i do której odwoływało się wielu amerykańskich polityków. „Zawsze wierzyłam, że Ameryka jest wyjątkowym krajem, ale brało się to stąd, że przewodziliśmy w tworzeniu standardów obowiązujących wszystkich, a nie dlatego, że byliśmy wyjątkiem od reguły” – twierdziła była sekretarz stanu Madeleine Albright¹³.

Temu wizerunkowi Ameryki zaszkodziła niewątpliwie polityka prowadzona przez administrację Busha. I tu pojawia się wielki paradoks. Amerykanie atakowali Afganistan i Irak w imię wyznawanych wartości – demokracji i wolności – zresztą sama „doktryna Busha” miała na celu promowanie tych zasad. Tymczasem nastąpiło, jeśli nie zniszczenie, to na pewno osłabienie amerykańskiej *soft power*. Stany Zjednoczone straciły wiele ze swej moralnej siły, stanowiącej element amerykańskiej tożsamości politycznej i czynnik jej pozycji w świecie. Zaszkodziły im – z jednej strony Abu Ghraib i Guantanamo, nawet jeśli uznamy, że siła krytyki była w tym wypadku przesadzona, z drugiej zaś – preferowanie opcji militarnej w działaniach na arenie międzynarodowej. Inwazja na Irak, ale też wcześniej na Afganistan były postrzegane przez wielu jako symbole globalnego imperializmu amerykańskiego. W tej sytuacji mówienie o amerykańskim posłannictwie dziejowym, czyli propagowaniu demokracji i wolności stało się dla wielu społeczności i narodów czystą hipokryzją i podważało moralne fundamenty tego przywództwa.

Ważnym czynnikiem przywództwa była zdolność budowania koalicji, pozyskiwania sojuszników i partnerów, którzy jednoczą się pod jednym

¹² Zob. wywiad z J. Nye'em pt. *Bush nie zniszczył Ameryki*, „Europa”. Dodatek do „Dziennika” 5 V 2007.

¹³ M. Albright, *Rady dla prezydenta*. „Europa”. Dodatek do „Dziennika” 16 II 2008.

sztandarem, w imię wspólnych wartości i dla tych samych celów. Tej zdolności administracji Busha brakowało, ale też preferując unilateralizm i koncepcję, że kto nie z nami, ten przeciwko nam, Stany Zjednoczone, zwłaszcza w okresie pierwszej kadencji prezydentury Busha, zatraciły atrakcyjność jako lider koalicji. Co więcej, wykazywana wówczas arogancja, zbyt duża pewność siebie, odrzucenie innych punktów widzenia doprowadziły do prób izolowania Stanów Zjednoczonych na arenie międzynarodowej, a nawet spowodowały sprzysiężenie się przeciwko aroganckiemu supermocarstwu. Ameryka zyskała niebywałą zdolność budowania politycznych koalicji nie wokół siebie – jak to było w przeszłości – ale przeciw sobie. Ekipa Busha zmarnowała wielki ładunek emocjonalnej solidarności i poparcia, jakim Ameryka cieszyła się po 11 września 2001 r. Nie stworzyła na tym niczego konstruktywnego i pozytywnego, kształtującego nowy model stosunków na świecie. W efekcie Stany Zjednoczone nie sprawdziły się jako wiarygodny i odpowiedzialny lider.

U kresu prezydentury Busha państwo amerykańskie doświadczało bezprecedensowej niechęci, sprzeciwu, nieufności, a nawet nienawiści. Te negatywne uczucia należało tłumaczyć nie tylko efektami złej polityki Busha. Była to również reakcja na amerykańskie bogactwo i potęgę, która nie tylko u wrogów wzbudzała zawiść i zazdrość, potęgując kompleksy. Antyamerykanizm stał się zjawiskiem niemal powszechnym i niemalże *main streamem* wśród różnych społeczności, utrudniającym w wielu wypadkach budowanie przyjaznych i bliskich stosunków z Waszyngtonem. Niektórzy przywódcy europejscy, i nie tylko oni, odczuli boleśnie w wewnętrznych rozgrywkach politycznych, że sprzyjanie Ameryce i bliskie kontakty z prezydentem Bushem mogą osłabić ich pozycję w kraju, a nawet pogrzebać szanse wyborcze. Innymi słowy, proamerykanizm nie popłacał, natomiast antyamerykanizm stał się swoistą modą i atutem politycznym. Czy nawet największa potęga może odgrywać rolę globalnego przywódcy, gdy wywołuje tyle złych emocji, nawet jeśli nie są one do końca uzasadnione i przez nią zawinione? Pytanie wydawało się retoryczne, także w odniesieniu do przywództwa w układzie transatlantyckim.

Z kolei niepowodzenia w Iraku pokazały słabość największej potęgi militarnej świata. Wprawdzie Ameryka poniosła już kiedyś klęskę, i to niezwykle spektakularną – w Wietnamie. Ale wówczas sytuacja była inna. Okres zimnej wojny i utrzymujące się poczucie zagrożenia radzieckiego niejako automatycznie i trwale czyniło ze Stanów Zjednoczonych patrona i obrońcę świata zachodniego. I tego statusu, dla dobrze pojętego własnego interesu, żadne z państw Zachodu nie podważało. Wietnam był jedynie porażką, czyniącą większe spustoszenia w myśleniu i postawach Amerykanów, niż u sojuszników zagranicznych, a zwłaszcza wśród przywódców państw zachodnioeuropejskich. Teraz świat wyglądał inaczej i poczucie, że amerykański kolos nie jest już tak silny, napawało pewną satysfakcją, ale i pokusą zdyskontowania tego faktu. Inne mniejsze potęgi, różne państwa dobijające się większego udziału w decydowaniu o porządku spraw w świecie lub pragnące zademonstrować swe nowe możliwości otrzymały ważny sygnał: Ameryka nie jest już tak potężna, jak myśleliśmy.

Skłoniło to nawet niektórych obserwatorów do zastosowania analogii między wojną iracką a wojną burską z przełomu XIX i XX w., która chociaż zwycięska dla Zjednoczonego Królestwa i prowadzona gdzieś na jego peryferiach, wpłynęła na losy Imperium Brytyjskiego¹⁴. Trudno już dziś przesądzić, czy ta analogia, jeśli chodzi o konsekwencje, była słuszna. Jedno jest natomiast pewne, że Irak, a także Afganistan, obnażając słabości militarne i polityczne Stanów Zjednoczonych, podważyły ich prymat. Ameryka utraciła atut, który mógł decydować o utrzymaniu jej roli jako „żandarma” w pozimnowojennym świecie – gotowego rozwiązywać konflikty, skutecznie działać w wypadku zagrożenia, zdecydowanie reagować na wrogie posunięcia i podejmować wyzwania. Nie może być „żandarmem” ktoś, kto nie potrafi siłą lub perswazją wyegzekwować swojej władzy, choćby w dwudziestomilionowym państwie nad Tygrysem i Eufratem. Ameryka zawiodła jako skuteczny, kompetentny i budzący zaufanie strateg.

Także konflikt gruzińsko-rosyjski z sierpnia 2008 r. obnażył niemoc Stanów Zjednoczonych, które nie miały na tyle silnych instrumentów, aby cokolwiek wymusić na Rosji. Sama perswazja i nacisk osłabionego supermocarstwa nie na wiele się zdały, zaś zastosowanie opcji militarnej nie wchodziło w grę. Niemoc dyplomacji amerykańskiej, pozbawienie jej mocnych narzędzi nacisku – gospodarczych, militarnych, a nawet politycznych, odnieść można było także do innych regionów świata i różnych konfliktów: Bliskiego Wschodu, kwestii nuklearyzacji Iranu i Korei Płn., fundamentalizmu islamskiego, a nawet terroryzmu międzynarodowego. Wobec większości z tych zagrożeń i wyzwań Stany Zjednoczone albo wykazywały nieskuteczność, bezsilność i brak wiarygodności, albo do ich podjęcia potrzebowały wsparcia innych państw i ośrodków sił. Waszyngton nie miał już decydującego głosu w rozstrzygnięciu problemów i sporów w świecie, znalazł się niemalże w defensywie, a ofensywę geopolityczną przejmowały inne mocarstwa regionalne, takie jak Rosja czy Chiny, a nawet Unia Europejska¹⁵.

Działo się tak również dlatego, że Ameryka wprawdzie wciąż była potęgą, ale funkcjonowała w świecie, w którym pojawiło się bardzo wielu innych aktywnych graczy. Układ jednobiegunowy przechodził zatem w nową konstrukcję geopolityczną, w której działały różne ośrodki sił. Jest kwestią dyskusji, w jakiej mierze same Stany Zjednoczone swymi działaniami i faktem, że zatraciły atrybuty lidera i światowego policjanta, przyczyniły się do zmiany porządku rzeczy. Pojawiały się bowiem głosy, że to już Clinton nie wykorzystał układu jednobiegunowego i „pozimnowojennej dywidendy pokojowej nie udało się przekuć na globalny porządek liberalny pod kierunkiem Ameryki”¹⁶. Niestety, komentatorzy nie precyzowali, co należało uczynić, aby tę „fantastyczną szansę, jaką miały Stany Zjednoczone po zakończeniu zimnej wojny”, zdyskontować dla budowy trwale zdominowanego przez USA porząd-

¹⁴ Zob. W. Mitchell, *Ameryka słabnie, Rosja w ofensywie*, „Gazeta Wyborcza” 30-31 VIII 2008; także F. Zakaria, *The Future of American Power...*, s. 20-22.

¹⁵ Zob. W. Mitchell, *Ameryka słabnie...*

¹⁶ P. Khanna, *Pożegnanie z hegemonią...*

ku międzynarodowego¹⁷. Przecież ekipa Busha wykazała, że siłą nie uda się tego uniwersalnego ładu liberalnego pod przewodnictwem Ameryki zbudować, zaś Clinton w różny sposób starał się misję promowania demokracji realizować. Wszak przyjęcie trzech państw z Europy Środkowo-Wschodniej do NATO temu między innymi celowi służyło.

Nie wnikając zatem w słuszność tych zarzutów, należało przyznać, że u progu drugiej dekady XXI w. Stany Zjednoczone, chcąc nie chcąc, musiały konkurować na geopolitycznym rynku z innymi potęgami, a także grupami politycznymi o różnym obliczu. I to pomimo tego, że nadal Ameryka jako jedyna dysponowała wszystkimi naraz atrybutami supermocarstwowości: ekonomicznymi, militarnymi, technologicznymi i politycznymi. Pozostałe mocarstwa posiadały zróżnicowane i często pojedyncze atuty, ale powodowały one, że na określonym polu miały te państwa coraz więcej do powiedzenia. W świecie skomplikowanych powiązań i uzależnień, zwłaszcza gospodarczych, były w stanie silniej niż kiedykolwiek wcześniej blokować, hamować, a nawet torpedować działania Waszyngtonu. Mogły też sprzymierzyć się przeciwko Ameryce. Jedni tę nową konstelację geopolityczną nazywali układem wielobiegunowym lub powrotem do stanu rywalizacji mocarstw, inni mówili o świecie bez biegunów, dla innych zaś wkroczyliśmy w czas chaosu lub znaleźliśmy się w okresie przejściowym¹⁸.

W tym nie do końca jeszcze wykrystalizowanym świecie nową pozycję zajęła Europa – drugi członek układu transatlantyckiego. Spadkiem bowiem po „erze Busha” było z jednej strony spustoszenie w relacjach euroatlantyckich, z drugiej zaś dyskutowanie przez Europę słabnącej pozycji Stanów Zjednoczonych. Różne państwa europejskie poczuły, że mogą pokazać Ameryce niesubordynację i nie będzie to już dla nich stanowiło problemu. Stolicy europejskie zyskały wyjątkowy komfort w silnym artykułowaniu własnych poglądów, formułowaniu krytycznych wobec polityki amerykańskiej sądów, zajmowania nawet konfrontacyjnej w stosunku do Waszyngtonu postawy. Rzecz jasna nie dotyczyło to wszystkich państw europejskich, zróżnicowanie takie występowało wśród samych członków Unii Europejskiej. Jednak front antyamerykański odznaczał się dużą siłą przyciągania dla różnych, dotychczas nawet odległych, jeśli idzie o interesy polityczne, krajów. „Inne państwa mobilizują się przeciw Stanom Zjednoczonym” – ostrzegał Fukuyama¹⁹. Natomiast Ameryka – przynajmniej przez pewien czas – stała się partnerem mniej pożądanym, wręcz niewygodnym.

Problemem był również mocno nadwreżony wizerunek Ameryki w opinii europejskiej. Prezydent Bush stał się w Europie jednym z najmniej lubianych przywódców politycznych. Chodziło nie tylko o nieakceptowane przez część polityków i europejską opinię publiczną założenia „doktryny Busha”, ale też stosunek do samego republikańskiego prezydenta, jego sposobu myślenia,

¹⁷ Z. Brzeziński, *Tarcza tak, ale nie taka*, „Polityka” 7 VI 2008.

¹⁸ Zob. szerzej: J. Kiwerska, *Stany Zjednoczone w świecie zróżnicowanych potęg*, „Przegląd Zachodni” nr 4/2012, s. 34-38.

¹⁹ F. Fukuyama, *Epoka słabych państw...*

postępowania i osobowości. Konserwatyzm, manichejskie podejście do problemów, niezbyt skomplikowany ogląd świata, wreszcie dostrzegalna gołym okiem nieudolność jego administracji i popełniane błędy – wszystko to potęgowało niechęć do Busha. Przekładało się też na spadek sympatii do Stanów Zjednoczonych i ich polityki, utożsamianej z dążeniami hegemonistycznymi i niemalże awanturnictwem politycznym. Potwierdzały to badania sondażowe prowadzone w Europie. Wynikało z nich, że Ameryka pod koniec urzędowania Busha cieszyła się sympatią średnio na poziomie dużo poniżej 50 proc.

Ten niechętny stosunek do administracji Busha w jakimś stopniu był efektem utrzymującego się od wielu lat, zwłaszcza wśród elity intelektualnej Europy Zachodniej, antyamerykanizmu. Było to uczucie budowane na ogólnej niechęci do Amerykanów jako nuworyszy, ignorantów, wykazujących tendencje do zachowań aroganckich, a ich liderów do działań imperialnych. Wiele w tym było także utajonych kompleksów wobec mocarstwa, które przed półwieczem odebrało Europie przywództwo na arenie międzynarodowej, a wielce wysublimowanej kulturze europejskiej jej prymat w świecie. Osiem lat rządów Busha, z ich specyficznym stylem i kontrowersyjnym charakterem te antyamerykańskie nastroje tylko wzmocniło. Z pewnością więc George W. Bush nie mógłby w przeciwieństwie do Billa Clintona finalizować swej obecności w Białym Domu zaszczytnym tytułem „Europejczyka” i nagrodą Karola Wielkiego. Antyamerykanizm znacznej części opinii publicznej i elity intelektualnej w Europie Zachodniej, ale też rosnąca niechęć do Stanów Zjednoczonych nawet w państwach Europy Środkowo-Wschodniej, które dotychczas uchodziły za zdecydowanie proamerykańskie, jak choćby w Polsce, to były fakty bezsporne, osłabiające rangę i pozycję Stanów Zjednoczonych. W jakiś sposób wpływające także na kondycję stosunków między Ameryką a Europą.

Jednak o nowym wymiarze relacji transatlantyckich przesądziło rosnące poczucie niezależności Europy. Po okresie przeobrażeń pozimnowojennych i kształtowania się nowego ładu europejskiego Stary Świat znalazł się w sytuacji, w której bliskie więzi ze Stanami Zjednoczonymi były bardziej efektem świadomego wyboru niż konieczności. A to pozwalało stawiać warunki i zajmować pozycję zdecydowanie autonomiczną wobec amerykańskiego supermocarstwa, umożliwiało zerwanie z etykietką posłusznego partnera, czasami wręcz wasala. Zwłaszcza że supermocarstwo znalazło się w dość trudnym położeniu: osłabiona ranga w świecie, nadwreżony wizerunek, niemożność uporania się z wieloma problemami. Efekt był taki, że administracja Busha nawet na forum *NATO* nie była w stanie przeforsować swoich racji. Najlepszym przykładem był Afganistan. Choć realizowano tam wspólną misję i europejscy członkowie Sojuszu zwiększyli swoje kontyngenty, to jednak amerykańskie oczekiwania co do skali tego zaangażowania były znacznie większe.

Na rosnące poczucie niezależności Europy wpływ miał również postępujący proces integracji europejskiej. Nie było bowiem tajemnicą, że coraz większym wyzwaniem dla Stanów Zjednoczonych stała się Unia Europejska, której PKB w pierwszej dekadzie obecnego stulecia osiągnął poziom wyższy

od amerykańskiego. Gospodarczy aspekt problemu stanowi temat sam dla siebie i nie jest przedmiotem niniejszych rozważań. Można zatem ograniczyć się do stwierdzenia, że spory gospodarcze na linii USA – Unia Europejska, świadczące bardziej o narastającej atmosferze konkurencji i rywalizacji niż współpracy, na pewno nie poprawiały wzajemnych stosunków. Z drugiej jednak strony, zarówno UE, jak i Stany Zjednoczone stanowiły elementy tego samego zachodniego systemu norm i zasad ekonomii wolnorynkowej, uczestniczyły w procesie globalizacji i bez ich współdziałania trudno byłoby rozwiązać główne problemy gospodarki światowej. Świadomość tego faktu była coraz bardziej widoczna po obu stronach Atlantyku, szczególnie w kontekście narastającego pod koniec pierwszej dekady XXI w. kryzysu gospodarczego.

Pozostaje jednak do rozważenia polityczny aspekt relacji między Stanami Zjednoczonymi a tym wyjątkowym w dziejach naszego kontynentu tworem, jakim stała się Unia Europejska. Mówiąc najprościej, wpływy polityczne UE wzrastały kosztem Ameryki. Zresztą zarówno brukselscy urzędnicy, jak i przywódcy głównych państw członkowskich Unii Europejskiej starali się uczynić z niej, czy to czynnik równowagi, czy to globalnego pośrednika między Stanami Zjednoczonymi a resztą świata. Zwłaszcza tą jego częścią, która w taki czy inny sposób była z Ameryką mocno skonfliktowana. To trzy główne państwa Unii – Niemcy, Francja i Wielka Brytania prowadziły negocjacje z Iranem w sprawie jego programu nuklearnego. Choć rozmowy te nie przyniosły oczekiwanych rezultatów, jednak tworzyły z owej „trojki” ważny czynnik ewentualnego zahamowania irańskiego projektu nuklearnego.

Podczas gdy Stany Zjednoczone nieudolnie próbowały opanować sytuację w Iraku, Europa angażowała środki finansowe i kapitał polityczny, aby wciągnąć mniej i bardziej peryferyjne państwa w orbitę swoich wpływów. „Wiele biednych regionów świata uświadomiło sobie, że chcą europejskiego, a nie amerykańskiego marzenia” – pisał z pewną dozą przesady P. Khanna²⁰. Chodziło o to, że w świecie XXI w. znacznie ważniejsze w procesie zdobywania wpływów okazywały się narzędzia „miękkiej siły” – w tym zwłaszcza oddziaływanie ekonomiczne, ale też kulturowe. Natomiast era Busha kojarzyła się wielu głównie z dominacją czynnika militarnego, co przypominało raczej czasy zimnej wojny, a także utratą przez Stany Zjednoczone atrybutów *soft power*, co już było całkowicie sprzeczne z amerykańską tradycją.

Na tym zyskiwała Unia Europejska. Jako struktura zintegrowana przede wszystkim gospodarczo sama sobą tworzyła pewien wzorcowy model rozwoju, ale też służyła pomocą i wsparciem. „Europa bardziej przypomina Merkurego – chodzi z wypchanym portfelem” – twierdził Khanna, nawiązując do słynnej tezy Kagana o Europie z Wenus i Ameryce z Marsa²¹. Rynek unijny stawał się największym na świecie, europejskie technologie w coraz większym stopniu wyznaczały standardy, a kraje UE należały do czołowych dystrybutorów pomocy rozwojowej. „Europa ma do zaoferowania światu doświadczenia

²⁰ P. Khanna, *Pożegnanie z hegemonią...*

²¹ *Ibidem*.

i umiejętności, jakich nasza planeta w obecnych kłopotach potrzebuje bardziej niż cegokolwiek innego” – dodawał Zygmunt Bauman, mając na myśli wypracowaną przez Europejczyków, po dramatycznych doświadczeniach przeszłości, umiejętność korzystnego współżycia pokojowego, pomimo dzielących ich różnic oraz uprzedzeń²².

Wszystko to procentowało w formie większych politycznych wpływów Unii Europejskiej, która stawała się partnerem bardziej pożądanym, bo mniej kontrowersyjnym i aroganckim niż Ameryka. Była niemal zupełnie pozbawiona skłonności do działania w stylu hegemonialnym. Myśl tę rozwijał Kagan: „Europa chce roli światowego autorytetu moralnego oraz wpływów politycznych i ekonomicznych, traktowanych jako antidotum na militarizm”²³. UE wyznaczała więc kolejny biegun nowego międzynarodowego układu. Zdaniem niektórych specjalistów tworzył się porządek, w którym główną rolę będzie odgrywała, obok USA i Chin, także Unia Europejska. Ta nowa Wielka Trójka już dyktowała reguły i wzorce, a innym państwom pozostawało tylko wybrać sobie partnerów w tym kształtującym się świecie. Trwała intensywna walka o wpływy, o to, kto kogo do siebie przyciągnie. Utrudniało to relacje w ramach tego trójkąta. Miało to znaczenie szczególnie w odniesieniu do układu Ameryka-Unia Europejska, bo oba jego człony należały do tego samego zachodniego świata wartości i zasad, a coraz wyraźniej zaczęła ich dzielić sfera interesów i celów, rywalizacja o wpływy i możliwości oddziaływania²⁴.

Nadal otwartą kwestią pozostała natomiast skuteczność działania politycznego Unii Europejskiej na arenie międzynarodowej. Czy UE stała się już wystarczająco zwartą i silną instytucją w zakresie bezpieczeństwa i polityki zagranicznej? Czy dysponowała mechanizmami i środkami, które pozwalały skutecznie reagować na wypadek niebezpieczeństwa? Mówiąc kolokwialnie i posługując się popularną sentencją Kissingera, czy istniał ów magiczny numer telefonu w Europie, pod który można by zadzwonić poszukując tam szybkiej i skutecznej reakcji na zagrożenie. Możliwości skutecznego rozwiązywania problemów politycznych decydowały o realnej sile Europy na scenie światowej.

Pod tym względem zgodzić się trzeba z opiniami, że Unia Europejska mimo osłabienia pozycji Stanów Zjednoczonych nie stała się jeszcze alternatywą dla amerykańskiego przywództwa. Oczywiście słabością UE był chociażby brak struktur wojskowych. I znowu Brzeziński stawiał sprawę jasno: „Europa polityczna jeszcze nie powstała”. I odnosząc to do stosunków z USA pisał: „Polityczny dialog Ameryki z Europą sprowadza się do dwustronnych stosunków z poszczególnymi państwami, a szczególnie z trzema czołowymi: Wielką Brytanią, Francją i Niemcami, które same nie potrafią zająć wspólnego stanowiska w sprawach dla Ameryki istotnych”²⁵. W jakimś stopniu był to efekt tego, że administracji Busha, choć w trakcie drugiej kadencji nie stosowała już

²² Z. Bauman, *Korzenie amerykańskiego zła*, „Gazeta Wyborcza” 28-29 VI 2008.

²³ R. Kagan, *Koniec marzeń, powrót historii...*

²⁴ P. Khanna, *Pożegnanie z hegemonią...*; por. R. Kagan, *Koniec marzeń, powrót historii...*

²⁵ Z. Brzeziński, *Tarcza tak, ale nie taka...*

tak wyraźnie wobec Europy polityki dyferencjacji, jak wtedy, gdy amerykański sekretarz obrony Donald Rumsfeld dzielił ją na „starą” i „nową”, łatwiej było rozmawiać z konkretnymi partnerami europejskim niż ze zintegrowaną całością. Decydował o tym przede wszystkim fakt, że Unia Europejska nadal nie była w stanie sama rozstrzygać konfliktów światowych. Choćby dlatego, że nie posiadając realnych sił militarnych, nie wykazywała woli takiego działania. Innymi słowy, nie stanowiła jeszcze globalnego gracza.

Zbyt silne były inercja i zachowawczość tworu europejskiego. Wynikało to z różnic interesów, postaw, doświadczeń i celów poszczególnych państw członkowskich UE. W efekcie kraje te różnie definiowały odpowiedzi na wiele ważnych pytań strategicznych. Odmienna ocena sytuacji i zróżnicowane oczekiwania uniemożliwiały od wielu lat wypracowanie wspólnej polityki zagranicznej oraz wspólnego stanowiska wobec mnóstwa większych i mniejszych problemów międzynarodowych. Trudno nawet było na początku 2009 r. przesądzić, czy instrumentarium traktatu lizbońskiego, czekającego dopiero na wprowadzenie, okaże się skutecznym mechanizmem kształtującym wspólną politykę zagraniczną i bezpieczeństwa. Tej oceny nie zmieniała nawet rola, jaką Unia Europejska odegrała w trakcie kryzysu gruzińskiego, gdy to prezydent Francji, sprawującej przewodnictwo UE, przeprowadził dość skuteczną mediację w sporze. Z kolei decyzje podjęte 1 września 2008 r., podczas specjalnego szczytu UE, nie oznaczały przyjęcia jakiegoś zdecydowanie ostrego kursu wobec Rosji, na tyle radykalnego, aby zmusić Moskwę do rezygnacji z faktów dokonanych. Powodem był brak zgodności wśród państw członkowskich UE w kwestii skali zastosowanych środków. W efekcie udało się tylko uzyskać konsens co do zawieszenia rozmów z Rosją w sprawie nowej umowy o partnerstwie i współpracy, natomiast nie zdecydowano się na zastosowanie wobec Rosji ani sankcji gospodarczych, ani restrykcji wizowych. Z drugiej strony, trzeba było zadać sobie retoryczne pytanie, czy Unia Europejska – zróżnicowana i nie posiadająca wspólnej polityki zagranicznej oraz silniej niż inne regiony świata uzależniona od dostaw rosyjskich surowców energetycznych – mogła ryzykować konfrontację z Rosją.

W każdym razie, z perspektywy amerykańskiej i w sensie politycznym Unia Europejska nadal pozostała tworem dość mgławicowym, targanym wewnętrznymi sprzecznościami, uniemożliwiającymi odegranie roli ważnego i skutecznego gracza na arenie międzynarodowej. Nie oznaczało to, że kondycja i pozycja Unii Europejskiej nie będą miały wpływu na układ transatlantycki, jego funkcjonowanie, a przede wszystkim perspektywy. Pytanie dotyczyło raczej charakteru i skali tego oddziaływania oraz jego konsekwencji dla kształtu wspólnoty euroatlantyckiej.

Równie zasadnicze pytania i wątpliwości wiązały się z nową rolą Pekinu, konsekwentnie od ćwierćwiecza budującego swą potęgę w wymiarze wewnętrznym oraz zewnętrznym i tym samym angażującego uwagę Waszyngtonu. Chiny wraz z regionem Azji stawały się wyzwaniem dla polityki amerykańskiej. W efekcie układ Ameryka – Chiny, pełen napięć, ale i wzajemnego uzależ-

nienia, zdawał się pod koniec pierwszej dekady XXI w. coraz silniej wdzierać na scenę globalną. I to kosztem partnerstwa transatlantyckiego. Taki rozwój sytuacji przewidywał już znacznie wcześniej Z. Brzeziński, pisząc w *Wielkiej szachownicy*, że USA i ChRL to naturalni sojusznicy²⁶. Teraz dowodził, że „prezydent USA powinien zawiązać z Chinami całościowe partnerstwo globalne, równoległe do naszych stosunków z Europą i Japonią. Powinien się z prezydentem Chin regularnie spotykać, by szczerze dyskutować nie tylko o sprawach dwustronnych, ale i najważniejszych problemach świata – od Bliskiego Wschodu i Iranu po kryzys ekonomiczny”²⁷. Jakkolwiek natura reżimu chińskiego wydawała się sprzeczna z kreowaną przez Brzezińskiego wizją bliskiej współpracy, to jednak wiadomo było, że wielu problemów nie uda się już rozwiązać bez udziału Pekinu. Siłą rzeczy Chiny stawały się więc ważnym uczestnikiem ładu światowego i ich rola w tym kształtującym się porządku międzynarodowym nieodwołalnie rosła.

²⁶ Z. Brzeziński, *Wielka szachownica...*, s. 190 i n.

²⁷ Z. Brzeziński, *Jak się nie porozumiemy...*

Odbudowa wizerunku Ameryki

Prezydent Barack Obama stanął wobec kompleksu niezwykle trudnych i ważnych problemów politycznych. Wśród nich na czoło wysuwały się – obok nadwerżonego prestiżu i osłabionej pozycji USA – niestabilizowany Irak, wojna ogarniająca z coraz większą siłą Afganistan, realna groźba nuklearyzacji Iranu, a nawet dalszej proliferacji broni masowego rażenia, zahamowany proces pokojowy na Bliskim Wschodzie, nierozstrzygnięta walka z terroryzmem i w końcu – mocno nadszarpnięte stosunki transatlantyckie. Nowy lokator Białego Domu musiał się zmierzyć z zadaniami, od których rozwiązania zależy miała nie tylko pozycja i znaczenie Stanów Zjednoczonych w świecie, ale także globalna sytuacja międzynarodowa, w tym kondycja układu transatlantyckiego²⁸.

Wybór Obamy na 44. prezydenta Stanów Zjednoczonych, bezprecedensowy i historyczny pod wieloma względami, oczekiwany był z wyjątkiem – jeśli takiego określenia można użyć wobec politycznych zachowań – przez wielu europejskich polityków, komentatorów, a przede wszystkim przez dominującą część europejskiej opinii publicznej. Już dawno żaden z kandydatów ubiegających się o najwyższy urząd w Ameryce nie wywoływał tylu pozytywnych emocji i nie cieszył się tak wielką sympatią w Europie jak kandydat Partii Demokratycznej. Było to już zauważalne podczas jego wyjątkowej podróży przedwyborczej, gdy w lipcu 2008 r. odwiedził Berlin, Paryż i Londyn, wszędzie wzbudzając entuzjazm tłumów oraz doświadczając ciepłego przyjęcia ze strony większości europejskich przywódców politycznych.

Wyjątkowość sytuacji polegała i na tym, że podróż do Europy ubiegającego się o prezydenturę kandydata wprowadzała pewną nową jakość do amerykańskiej kultury politycznej. Wcześniej bowiem w historii Ameryki nie zdarzyło się, aby kampanię wyborczą prowadzono poza granicami Stanów Zjednoczonych. Tymczasem kandydat demokratów – podobnie jak jego konkurent z Partii Republikańskiej, senator John McCain – zdecydowali się na podróż za granicę, aby swe przesłanie skierować zarówno do Amerykanów, jak i Europejczyków. Przemówienie Obamy przed *Siegessäule* w Berlinie, poświęcone w dużej mierze perspektywom stosunków amerykańsko-europejskich, okłaskiwał 200-tysięczny tłum, co skwapliwie relacjonowały amerykańskie media, czyniąc z tego cenny atut kandydata demokratów w walce wyborczej²⁹. Wyjście z kampanią wyborczą poza granice kraju mogło świadczyć tylko o jednym, że

²⁸ Zob. S. Talbott, *Trouble Ahead for the Next U.S. President*, "Financial Times Magazine" 10 III 2008 www.brookings.edu/articles/2008/0104-foreignpolicy-talbott.aspx?p=1.

²⁹ Warto dodać, że pobyt Obamy w Niemczech wywołał pewne kontrowersje. Kanclerz Angela Merkel, chcąc zachować lojalność wobec urzędującej jeszcze administracji republikańskiej i nie chcąc stawiać w gorszej sytuacji J. McCaina, kandydata republikanów, nie zgodziła się, aby jego konkurent wystąpił przed Bramą Brandenburską, mającą symboliczne znaczenie (w 1963 r. stamtąd J. Kennedy wołał: „Ich bin ein Berliner”, a w 1987 r. R. Reagan apelował do Gorbaczowa o zburzenie muru berlińskiego). Na tym tle doszło nawet do zgrzytu w łonie „wielkiej koalicji”, gdyż *SPD* nie była tak pryncypialna w tej kwestii. Jednak upór kanclerz spowodował, że Obama wystąpił przed *Siegessäule*.

polityka zagraniczna, a dokładniej odbudowa pozytywnego wizerunku Ameryki w świecie stanowić będzie ważny cel nowej administracji, bez względu na to, czy będzie ona nadal republikańska czy demokratyczna.

Nie da się zaprzeczyć, że europejski entuzjazm towarzyszący wizycie Obamy w Europie był – mówiąc najprościej – manifestacją niechęci do urzędującego jeszcze prezydenta Busha. Niemcy – podobnie jak znakomita większość europejskiej opinii publicznej i przywódców Starego Świata – zdegowani polityką administracji Busha, czekali z nadzieją na nowego gospodarza Białego Domu w myśl nadal aktualnego hasła: „Zwróćcie nam dobrą Amerykę”³⁰. Można było odnieść wrażenie, że silne w Europie nastroje antyamerykańskie miały zdecydowanie personalne podłoże – były wyrazem głęboko krytycznego stosunku do Busha i jego polityki, a nie Stanów Zjednoczonych jako państwa. Dlatego z gorącym aplauzem zgromadzonego w Berlinie tłumu spotkały się słowa Obamy: „Mój kraj nie jest idealny (...), ale potrzebujemy siebie nawzajem. Ameryka nie ma lepszego partnera niż Europa. Razem stawimy czoła zagrożeniom XXI w.”³¹.

Z europejskiej perspektywy liczyły się także inne elementy programu Obamy, a zwłaszcza zapowiadany przez niego w kampanii wyborczej styl dyplomacji, w której miały przeważać multilateralizm, dialog, delikatne naciski, a przede wszystkim wysłuchiwanie racji partnerów. Odpowiadało to oczekiwaniom polityków w większości stolic europejskich, gdyż było bliższe Europie „spod znaku Wenus” i niemieckiej *Zivilmacht* niż forsowanej przez administrację Busha opcji siłowej „w duchu boga Marsa”. Obama wydawał się też – silniej niż jego republikański konkurent – uosabiać *soft power*, która tradycyjnie była atutem Ameryki i który to walor został niemal pogrzebany przez działania administracji Busha. „Dzisiaj Ameryka kojarzy się z więzieniem Guantanamo, a nie ze Statuą Wolności” – mówił w wywiadach Obama i zapowiadał, że trzeba to zmienić. „Obama uosabia te cechy amerykańskiego społeczeństwa, które podobają się nawet najostrzejszym krytykom Waszyngtonu” – pisał T. Garton Ash. Dlatego nowy prezydent to szansa na odbudowę pozytywnego wizerunku Ameryki nie tylko w Europie, ale i w świecie, odzyskanie przez Amerykę szacunku w społeczności międzynarodowej. Francuski publicysta polityczny i pisarz Guy Sorman ujął sprawę krótko: „wraz z objęciem władzy przez Obamę imperium przybrało nieco bardziej sympatyczne oblicze”³².

Z tych chociażby przyczyn już na początku kadencji nowy prezydent miał w ręku ważne atuty – sympatię znacznej części Europejczyków, ich poczucie ulgi, że Biały Dom opuścił George Bush, ostro krytykowany za konserwatyzm, interwencję w Iraku i unilateralizm. Zresztą Bush już na długo przed odejściem z Białego Domu traktowany był przez wielu europejskich partnerów

³⁰ Tak brzmiał tytuł artykułu w „Die Zeit”, opublikowanego krótko przed wyborami do Kongresu w listopadzie 2006 r.

³¹ Cytat pochodzi z: *Sen o wolności*, „Gazeta Wyborcza” 26-27 VII 2008. Zob. też *Bundesregierung will Obama beim Wort nehmen*, „Spiegel Online” 26 VII 2008, www.spiegel.de/politik/ausland/0,1518,druck-568234,00.html

³² G. Sorman, *Nowe amerykańskie stulecie*, „Europa”. Dodatek do „Dziennika” 2-3 V 2009.

jako nieudolny i nieskuteczny prezydent (*lame duck president*). Powszechnie było też oczekiwanie na świeży impuls i nowy początek w stosunkach transatlantyckich – Europejczycy wydawali się mimo wszystko już mocno zmęczeni utrzymującym się stanem napięcia między Ameryką a Europą i pragnęli poprawy wzajemnych relacji. Pisał o tym Hans-Gert Pöttering, przewodniczący Parlamentu Europejskiego, dowodząc znaczenia i roli partnerstwa transatlantyckiego: „Musimy zapomnieć o różnicach i nieporozumieniach. Zarówno w Waszyngtonie, jak i Brukseli powinniśmy wykorzystać szanse i zmienić nasz sposób myślenia, a także przyjąć zobowiązanie wspólnego działania na rzecz dobrobytu i pokoju, nie tylko w Europie i Ameryce Północnej, ale w całym świecie”³³. W podobnym duchu utrzymane były depesze gratulacyjne, wysyłane przez przywódców europejskich po zwycięstwie wyborczym Obamy. Kanclerz Angela Merkel podkreślała: „Jestem przekonana, że Europa i USA będą działać wspólnie i w najlepszej wierze, aby zarówno przeciwstawić się wyzwaniom i zagrożeniom, jak i wykorzystać w najlepszy sposób szanse, jakie stoją przed nami w tym zglobalizowanym świecie”³⁴.

Jakkolwiek rosło przekonanie wśród przywódców europejskich, że układ transatlantycki pozostaje ważnym czynnikiem bezpieczeństwa i pozycji zarówno USA, jak i Europy, to jednak bezsprzecznie wszelkie próby odbudowy i wzmocnienia wzajemnych relacji zależeć miały w dużym stopniu od działań Ameryki, głównego filara wspólnoty. Czy prezydent Obama podoła tym oczekiwaniom? Czy będzie chciał i czy zdoła wypełnić nową treścią relacje z europejskimi sojusznikami? Jakie miejsce zajmie Europa i układ transatlantycki na liście priorytetów nowego prezydenta? Wreszcie, czy w stolicach europejskich znajdzie on zrozumienie dla swych dążeń i celów? Oto tylko niektóre pytania, na które Europa i świat oczekiwały odpowiedzi. Jeśli Obama rozegra tę partię umiejętnie, wykaże, że obok porywającej tłumy charyzmy i siły swej retoryki, ma też coś konkretnego do zaproponowania Europie – pomysły i metody, jest skuteczny i zdecydowany, to nie tylko umocni układ transatlantycki, ale nawet zdoła przywrócić łagodną dominację Stanów Zjednoczonych zarówno we wspólnocie euroatlantyckiej, jak i w świecie. Muszą to być jednak konkrety, bo – jak przewidywano – fascynacja czarnoskórym prezydentem Stanów Zjednoczonych nie będzie trwała wiecznie. Przestrzegano, że największy błąd, jaki Obama może popełnić wobec Europy, to dać jej odczuć, jak jest ona daleko na liście priorytetów nowej administracji. Groziłoby to załamaniem w tym wyjątkowym bloku politycznym, jakim jest Zachód, czyli Ameryka działająca wraz z Europą.

W powyborczych komentarzach przypominano, że także państwa europejskie powinny poczuć większą odpowiedzialność za sytuację w świecie, za przezwyciężanie trudności i rozwiązywanie problemów. Oznaczać to będzie większe zobowiązania i powinności dla europejskich sojuszników Stanów

³³ H.-G. Pöttering, *Transatlantic fresh start*, „The Guardian” 4 XI 2008, www.guardian.co.uk/commentisfree/2008/nov/04/eu-uselections2008/print.

³⁴ Cyt. w: *German Politicians Welcome Obama, Call for Closer Ties to US*, 5 XI 2008, www.dw-world.com/popups/popup_printcontent/0,,3767064,00.html.

Zjednoczonych. O konieczności większego wysiłku zbrojnego Europy w Afganistanie mówił Obama już w Berlinie – „Afgańczycy potrzebują wojsk naszych i waszych” – co zresztą spotkało się z najsłabszym odzewem niemieckich słuchaczy³⁵. Były to jednak oczekiwania, jakie wobec europejskich partnerów miał nowy prezydent USA. Zwłaszcza że skala problemów gospodarczych Ameryki, jaką w spuściznie pozostawiła Obamie odchodząca administracja, musiała spowodować skupienie uwagi właśnie na kwestiach wewnętrznych. Zaś kontynent europejski – chcąc zrealizować swe polityczne ambicje, ale też utrzymać dobre stosunki z Waszyngtonem – będzie musiał odpowiedzieć na te oczekiwania, zwiększając swe zaangażowanie na różnych polach i w różnym charakterze. Zabraknie bowiem alibi w postaci czasami aroganckiej i jednostronnej polityki poprzedniego prezydenta. „Bush pozwolił im [Europejczykom – przyp. J.K.] obarczać amerykański unilateralizm odpowiedzialnością za przejawiany przez nich brak inicjatywy i wykorzystywać błędy amerykańskiej dyplomacji jako wytłumaczenie dla własnego nicnierobienia” – pisała Anne Applebaum. Teraz jednak – zdaniem amerykańskiej publicystki – „wybiła godzina Europy”³⁶. Susan Rice, wówczas główny doradca kandydata Obamy ds. zagranicznych zapowiadała: „Polityka zagraniczna Obamy będzie oznaczać, że USA wykonują swoją część zadań, ale Europa też musi wykonać swoją. W dobrym partnerstwie nie ma pasażerów na gapę”³⁷.

Własne oczekiwania, zresztą utrzymane w znanej już tonacji, formułował Z. Brzeziński: „Jeśli Europejczycy nie będą w stanie ustalić wspólnej europejskiej polityki zagranicznej, to oczywiście nie będzie prawdziwego dialogu transatlantyckiego, będzie co najwyżej dialog dwustronny między poszczególnymi krajami. Jeśli Europa ma mieć znaczenie światowe, musi mówić jednym głosem” – przekonywał czołowy amerykański analityk³⁸. Pytanie brzmiało: czy Europa takie wyzwanie podejmie.

Jeszcze większą niewiadomą pozostało to, czy nowy prezydent Stanów Zjednoczonych spełni pokładane w nim nadzieje – zarówno skumulowane w Ameryce jak i wyrażane po drugiej stronie Atlantyku. Brytyjski historyk i politolog Paul Kennedy miał duże wątpliwości. Pisał, że „europejska miłość do Obamy raczej nie zostanie odwzajemniona”. Przyczyn tego upatrywał w fakcie, że Europa przestała już być jakimś wielkim problemem dla Ameryki – w odróżnieniu od Chin, Rosji czy Bliskiego Wschodu. Coraz mniejsze jest też jej zaangażowanie na płaszczyźnie militarno-strategicznej. Dlatego – konkludował Kennedy – „paneuropejskie zachwyty nad Obamą (...) nie uczynią z Europy gwiazdy przewodniej amerykańskiej polityki zagranicznej”³⁹. Brzmiało to może brutalnie, jednak trudno było wykluczyć, że absolutnym priorytetem nowej administracji stanie się nie odbudowa układu transatlantyckiego, ale

³⁵ *Sen o wolności...*

³⁶ A. Applebaum, *Wybiła godzina Europy*, „Gazeta Wyborcza” 31 VII 2008.

³⁷ Wypowiedź S. Rice dla „The Daily Telegraph” z 17 VII 2008, www.telegraph.co.uk/news/world-news/barackobama/2435862/No-free-ride-for-Europe-says-top-Barack-Obama-aide.html.

³⁸ Rozmowa ze Z. Brzezińskim, *Bez przesady z symbolami*, „Rzeczpospolita” 24-26 XII 2008.

³⁹ P. Kennedy, *Rządzić znaczy wybierać*, „Europa”. Dodatek do „Dziennika” 3-4 I 2009.

ratowanie gospodarki amerykańskiej oraz podejmowanie wyzwań w innych częściach świata, bezpośrednio związanych z amerykańskimi żywotnymi interesami. Wprawdzie Obama niemal natychmiast po objęciu urzędowania w Białym Domu rozmawiał telefonicznie z prezydentem Francji i kanclerz Niemiec, a więc przywódcami państw, które w czasach Busha znajdowały się w trudnych relacjach ze Stanami Zjednoczonymi. W obu przypadkach usłyszał deklarację gotowości współdziałania „w sposób zdecydowany” m.in. na rzecz odbudowy Afganistanu i przezwyciężenia światowego kryzysu gospodarczego⁴⁰. Nie było wiadomo, czy te rozmowy telefoniczne znaczą coś więcej, niż tylko kurtuazyjne gesty wykonane przez nowego gospodarza Białego Domu, czy zapowiadają rzeczywistą wolę Waszyngtonu wzmocnienia współpracy z Europą.

Istniało jeszcze jedno niebezpieczeństwo. Obserwatorzy zgadzali się, że Barack Obama, przy całej swej charyzmie, zdolnościach oratorskich, wizjonerskich przesłaniach był dyletantem w polityce zagranicznej. Mogło to skutkować błędnymi decyzjami i złymi posunięciami na arenie międzynarodowej. Ale też nie musiało być okolicznością o czymkolwiek przesądającą. Wystarczy przypomnieć, że H. Truman, gdy w kwietniu 1945 r. „w biegu” przejmował urząd prezydencki po zmarłym nagle F. D. Rooseveltcie, niewiele wiedział o polityce zagranicznej, a przecież to on właśnie wprowadził strategię „postrzymywania”, która odniosła sukces w zimnej wojnie. Clinton z kolei szedł do wyborów w 1992 r. z hasłem „Gospodarka, głupcze” i nieznajomość sytuacji międzynarodowej oraz brak doświadczenia dyplomatycznego stanowiły obciążenie tylko do połowy jego pierwszej kadencji prezydenckiej. Odchodząc z urzędu w styczniu 2001 r. pozostawiał Amerykę w dobrej kondycji, nie tylko wewnętrznej, ale i z dodatnim bilansem na arenie międzynarodowej oraz pozytywnym wizerunkiem wśród europejskich sojuszników. Więc nawet jeśli Barack Obama będzie uczył się na bieżąco meandrów sytuacji międzynarodowej, to biorąc pod uwagę jego niekwestionowane zdolności (był prymusem w prestiżowym Uniwersytecie Harvarda) należało oczekiwać, że okaże się pojętym uczniem. Tym bardziej że wiceprezydentem został Joseph R. Biden, senator z dużym doświadczeniem na polu polityki zagranicznej. To zresztą też nie musiało o niczym przesądzać, gdyż – jak wiadomo – w amerykańskim systemie władzy wiceprezydent ma ograniczone uprawnienia. Chyba że był nim Richard Cheney, który zdołał wywrzeć ogromny wpływ na kształt polityki zagranicznej administracji Busha. Wiele więc zależało od samego Obamy, jego predyspozycji, umiejętności i zdolności realizowania wytyczonych celów.

Znaczące były również nominacje na najważniejsze, jeśli idzie o politykę zagraniczną, stanowiska – kto zostanie szefem amerykańskiej dyplomacji, kto stanie na czele Pentagonu, kto będzie pełnił rolę doradcy ds. bezpieczeństwa narodowego. To ci urzędnicy mieli wpływać na kształt i kierunki amerykańskiej strategii zewnętrznej, a przynajmniej realizować wyznaczone im przez

⁴⁰ Cyt. w: Deutsche Welle, *Obama Calls Europe, Gets Largely Cooperative Response*, 27 I 2009, www.dw-world.com/popups/popup_printcontent/0,,3978615,00.html.

prezydenta zadania. Powierzenie stanowiska szefa amerykańskiej dyplomacji ambitnej Hillary Clinton – swej niedawnej konkurentce w wyścigu o nominację Partii Demokratycznej na prezydenckiego kandydata, miało nie tylko osobistą wymowę. Nie chodziło jedynie o pozyskanie dla swej administracji niedawnego rywala politycznego, ale chyba również o nawiązanie do tradycji działania na arenie międzynarodowej w duchu multilateralizmu, charakteryzującego prezydenturę męża nowej sekretarz stanu – Billa Clintona. Zresztą występując przed Komisją Senatu, która miała zatwierdzić jej nominację, Clinton deklarowała wolę współpracy z partnerami i sojusznikami. Mówiła, że Ameryka nie może rozwiązywać problemów świata sama, ale też świat nie jest ich w stanie rozwiązywać bez Ameryki. Dlatego podkreślała znaczenie sojuszu z Europą, zwłaszcza z Niemcami, Francją, Wielką Brytanią i „nowymi demokracjami”. Odwołując się do atrybutów *soft power* przyszła sekretarz stanu przekonywała: „Wiemy, że Ameryka musi przewodzić światu poprzez przykład. Nasze interesy w świecie muszą iść w zgodzie z naszymi wartościami”⁴¹. Jakkolwiek były to tylko deklaracje składane głównie na użytek chwili, jednak tworzyły korzystny dla ich ewentualnej realizacji klimat.

Także inne nominacje nowego prezydenta na wysokie stanowiska w administracji potwierdzały wolę kształtowania bardziej koncyliacyjnego charakteru jej działań na arenie międzynarodowej. Pozostawienie w Pentagonie dotychczasowego jego szefa Roberta M. Gatesa, który zdołał już wcześniej, jeśli nie zniwelować, to przynajmniej osłabić w stosunkach z europejskimi sojusznikami złą spuściznę, wypracowaną przez aroganckiego Rumsfelda, a przy okazji wykazał się wysokimi kompetencjami, powszechnie przyjęto z aprobatą. Uważano, że po pierwsze – nie bardziej się nie liczy w resorcie obrony niż doświadczenie i kompetencje, a po drugie – ważna jest również umiejętność dogadywania się z sojusznikami.

Nie ulegało jednak wątpliwości, że kluczowe znaczenie dla odbudowy układu transatlantyckiego będzie miało przywrócenie dobrej atmosfery we wzajemnych relacjach. Zapowiadając zmianę tonu i stylu dyplomacji, którą teraz miała zdominować wola dialogu, negocjacji i współpracy, a także szersze wykorzystanie atrybutów *soft power*, administracja Obamy na samym początku zdołała wykreować lepszy obraz Ameryki. Podczas inauguracji prezydentury 20 stycznia 2009 r. Obama – jak pisał T. Garton Ash – „uderzył w tony, które świat chciał usłyszeć z Waszyngtonu”. Mówił o „łagodzącym wpływie pokory i powściągliwości”, pewnie nieświadomie nawiązując do pamiętnej frazy Busha, która szybko – jak pamiętamy – przestała za jego prezydentury obowiązywać⁴². Jednak w tym momencie i po ośmiu latach rządowania Busha zabrzmiała ona z nową siłą. Ze szczególnie pozytywnym odzewem w stolicach europejskich spotkała się również zapowiedź szybkiej likwidacji więzienia w Guantanamo i większej aktywności na rzecz walki

⁴¹ Senate Confirmation Hearing: Hillary Clinton (transcript), www.nytimes.com/2009/01/13/us/politics/13text-clinton.html?pagewanted=all&_r=0.

⁴² T. Garton Ash, *Raczej nie prezydent świata*, „Gazeta Wyborcza” 24-25 I 2009.

z ociepleniem klimatu. Zaś w kolejnych wystąpieniach prezydent wiele mówił o wycofaniu w niedalekiej przyszłości amerykańskich wojsk z Iraku, silniejszym zaangażowaniu na rzecz odbudowy Afganistanu, a wobec wrogów i przeciwników wystąpił z ofertą rozmów i negocjacji, niemalże bez warunków wstępnych. Większy pragmatyzm w działaniu i konsultacja w relacjach z partnerami miały zastąpić dotychczasową ideologizację polityki amerykańskiej i autorytaryzm w podejmowaniu decyzji. Europejski członek układu transatlantyckiego mógł się więc poczuć bardziej doceniony, ważniejszy i współodpowiedzialny.

Tę nową atmosferę w relacjach Ameryki z jej europejskimi sojusznikami dostrzec można było już na początku marca 2009 r., podczas pierwszej wizyty H. Clinton w Europie. Nowa sekretarz stanu, spotykając się z przedstawicielami Unii Europejskiej i NATO, ze swej strony zapewniała o woli współpracy: „Nie mamy wyboru, musimy działać wspólnie”⁴³. Także europejscy rozmówcy nie pozostawiali wątpliwości, że dostrzegają wagę dobrych relacji ze Stanami Zjednoczonymi. Przewodniczący Parlamentu Europejskiego H. G. Pöttering apelował o wspólne działanie jako równorzędni partnerzy „w budowaniu lepszego świata”⁴⁴. Chodziło zresztą nie tylko o współpracę w zakresie bezpieczeństwa i polityki, ale przede wszystkim wspólne wysiłki na rzecz przezwyciężenia kryzysu gospodarczego. Na tej podstawie obserwatorzy wręcz konstatowali, że „ten światowy kryzys finansowy może okazać się początkiem nowego partnerstwa transatlantyckiego”⁴⁵.

Chociaż wszystko to pozostawało nadal w sferze deklaracji i haseł, to jednak stwarzało dobry grunt dla wizyty Obamy na kontynencie europejskim. Już na początku kwietnia 2009 r., czyli zaledwie kilka tygodni od objęcia najwyższego urzędu w państwie, prezydent Obama przyjechał do Europy. Jego wizyta była wydarzeniem śledzonym z najwyższą uwagą i szeroko komentowanym. Nie tylko dlatego, że podróż ta wiązała się z udziałem prezydenta USA w ważnych i decydujących szczytach międzynarodowych, w tym euroatlantyckich: szczyt państw G-20, spotkanie w ramach NATO oraz rozmowy w formule Unia Europejska – Stany Zjednoczone. Dla większości przywódców europejskich była to pierwsza okazja do spotkania z prezydentem Obamą. Ich oczekiwania były duże i różnorodne, odnoszące się do podjęcia skutecznych działań w kwestiach zarówno gospodarczych, jak i politycznych. Ale przede wszystkim były to oczekiwania odnoszące się do formuły i charakteru amerykańskiego przywództwa w świecie oraz w ramach układu transatlantyckiego.

Nie będzie przesady w stwierdzeniu, że amerykański prezydent witany był na kontynencie europejskim niezwykle entuzjastycznie. Nawet towarzyszący tradycyjnie szczytom przywódców mocarstw i państw demonstranci: alterglobaliści, pacyfiści i radykałowie tym razem nie umieścili na swoich sztandarach postaci amerykańskiego przywódcy. Można powiedzieć, że był

⁴³ Cyt. w: Ch. Hasselbach, *Opinion: Clinton's European Visit Marks a New Beginning*, 7 III 2009, www.dw-world.com/popups/popup/_printcontent/,,4079093,00.html.

⁴⁴ www.euractiv.com/en/opinion/clinton-sees-us-eu-leading-world/article-180031.

⁴⁵ Ch. Hasselbach, *Opinion: Clinton's European Visit...*

to swego rodzaju osobisty sukces prezydenta Obamy. Sprawdziły się też powszechnie podkreślane zdolności krasomówcze nowego gospodarza Białego Domu, który trzymając się charakterystycznej dla amerykańskich polityków wzniosłej retoryki, potrafił jednak przekazać istotne i konkretne treści.

Pozostało jednak najważniejsze pytanie: co udało się nowemu prezydentowi osiągnąć w Europie i czy spełnione zostały oczekiwania europejskich sojuszników. Niewątpliwie Barack Obama był traktowany przez partnerów z Europy jako lider świata Zachodu. Wynikało to z faktu, że Europejczycy po erze Busha, oczekiwali silnego, nowego impulsu z Waszyngtonu, a jego następcą miał ogromny kredyt zaufania, choćby dlatego, że nie był G. W. Bushem. Dlatego wiele pomysłów Obamy przyjmowano czy to w Londynie na spotkaniu G-20, czy to podczas szczytu NATO w Strasburgu i Kehl dość ciepło. Doceniano tym samym wysiłek, jaki włożyła demokratyczna administracja w to, aby przekonać sojuszników, że zależy jej szczególnie na wzmocnieniu roli dyplomacji na arenie międzynarodowej, prowadzeniu z partnerami rozmów i podejmowaniu decyzji uwzględniających różne punkty widzenia.

Warto jednak podkreślić, że po trudnym okresie prezydentury Busha wystarczyło manifestować wolę innego traktowania sojuszników, aby zyskać ich uznanie i mieć gwarancję dokonania nowego otwarcia w relacjach transatlantyckich. Tak też niewątpliwie się stało. Można było zaryzykować stwierdzenie, że układ transatlantycki został wzmocniony nie tylko wzajemną sympatią, dostrzegalną między przywódcami europejskimi a amerykańskim prezydentem, ale też dzięki demonstracji nowego stylu dogadywania się Ameryki z Europą. Efektem tego był powrót Stanów Zjednoczonych – jeszcze nie wiadomo czy trwały – do roli rzeczywistego lidera w relacjach transatlantyckich. To amerykański prezydent zdawał się ponownie „rozdawać karty” przy NATO-wskim stole, gdy przekonał Turcję do wycofania sprzeciwu wobec kandydatury premiera Danii Andersa Fogha Rasmussena na stanowisko sekretarza generalnego Paktu. Wprawdzie przesądziły o tym zaferowane Ankarze konkretne korzyści, ale niewątpliwie znaczenie miał też autorytet Obamy i fakt, że to on prowadził z tureckim prezydentem negocjacje.

Obserwując szczyt NATO trudno było oprzeć się wrażeniu, że – choć miał on charakter wyjątkowy, bo jubileuszowy – miało właśnie 60 lat od jego powstania – to raczej nie okazał się przełomowy. W przeciwieństwie bowiem do spotkania sprzed dziesięć lat, gdy w Waszyngtonie obchodzono rocznicę 50-lecia istnienia NATO, tym razem nie przyjęto nowej strategii Sojuszu. A wobec nadwerżonej spójności oraz osłabionej skuteczności tej organizacji, uchodzącej do niedawna za najbardziej udaną we współczesnych dziejach, potrzeba wypracowania nowej strategii wydawała się bardziej niż nagląca. Wszak NATO stanęło wobec trudnych i wymagających zwiększonych wysiłków zadań. Z jednej strony była to kwestia ewentualnego wzmocnienia działań ekspedycyjnych, takich jak operacja w Afganistanie, z drugiej – utwierdzenie tradycyjnych, obronnych funkcji Sojuszu. Nie będzie przesadą, jeśli powiemy, że rzeczywista weryfikacja tezy o odbudowanej w Strasburgu

i Kehl jedności Paktu miała się więc dokonać podczas przyszłych prac nad jego nową strategią, a także w kontekście prowadzonej przez NATO misji wojskowej w Afganistanie.

Jeśli ktoś miałby wątpliwości, czy prezydent Barack Obama zaprezentował się podczas swej pierwszej wizyty w Starym Świecie jako przywódca supermocarstwa, to te zastrzeżenia usunęło w cień wystąpienie w Pradze 5 kwietnia 2009 r. i zobowiązanie, że USA podejmą działania, aby zbudować świat bez broni atomowej⁴⁶. W ten sposób Obama odwoływał się do swoistego paradygmatu amerykańskich zachowań na arenie międzynarodowej – misji dziejowej Ameryki, jej szczególnego posłannictwa. Przypominał trochę wizję, głoszone swego czasu przez prezydenta Thomasa Woodrowa Wilsona, który w atmosferze dramatu I wojny światowej postulował powszechne rozbrojenie jako najlepszą gwarancję trwałego pokoju. Jego koncepcje rozbiły się wówczas o europejską rzeczywistość, w której było zbyt wiele sprzecznych interesów państw, rywalizacji mocarstw, zadawnionych konfliktów i gorących sporów, aby zdecydowano się na powszechne rozbrojenie⁴⁷. Jednak myśl padła i – chociaż bezskutecznie – jakieś ograniczone wysiłki w tym kierunku podejmowano.

W wystąpieniu Obamy nie zabrakło odcienia owego idealizmu, co nadało jego przemówieniu w Pradze wyjątkowego charakteru, atrakcyjnego dla szerokiej opinii publicznej, szczególnie tej europejskiej „spod znaku Wenus”. Mniej było tam jednak realizmu politycznego. Trudno bowiem wyobrazić sobie, aby w realiach końca pierwszej dekady XXI w. różne siły i grupy, nie posiadające zdolności i woli negocjacji, były w stanie wyrzec się śmiertelności broni w jakiegokolwiek wyobrażalnej przyszłości lub też wykluczyć sytuację, że w innych miejscach globu nie pojawią się takie zagrożenia. Oferta prezydenta Obamy miała w sobie więcej czystej retoryki i atrakcyjnego dla wielu idealizmu, obliczonych na spotęgowanie entuzjazmu tłumów i zyskania poparcia europejskich elit intelektualnych (kilka miesięcy później propozycja ta dała Obamie pokojową Nagrodę Nobla), niż wyrażała możliwe do zrealizowania plany. Niemniej jednak praskie wystąpienie umocniło wizerunek nowego amerykańskiego prezydenta jako przywódcy z wizją i wolą zmian. Dzięki temu Ameryka odzyskiwała na gruncie europejskim swą rangę supermocarstwa z atrybutami „miękkiej siły”.

Nie zmieniało to faktu, że po wizycie Obamy w Europie wiele pytań pozostało bez odpowiedzi, można nawet zaryzykować tezę, że nadal więcej było niewiadomych niż konkretnych rozstrzygnięć. W każdym razie podróż ta potwierdziła, że nowa administracja pragnie zaprezentować inne podejście do relacji z europejskimi sojusznikami, stawia na dialog i dyskusję, ale też oczekuje większego wsparcia i zaangażowania w rozwiązywanie światowych problemów. Obie strony układu transatlantyckiego stanęły więc przed koniecznością wspólnego sprostania wyzwaniom.

⁴⁶ Remarks by President Barack Obama, Prague, Czech Republic, April 5, 2009, www.whitehouse.gov/the-press-office.

⁴⁷ Zob. J. Kiwerska, *Między izolacjonizmem a zaangażowaniem. Europa w polityce Stanów Zjednoczonych od Wilsona do Roosevelta*, Poznań 1995, s. 19 i n.

NATO, Afganistan, nowa strategia

Kluczowe zadanie polegało na zdynamizowaniu *NATO*, głównego filaru układu transatlantyckiego i wypełnieniu nową treścią relacji euroatlantyckich. Jest prawdą, że Obama zastał *NATO* w nie najlepszej kondycji. Co prawda w okresie prezydentury Busha, w marcu 2004 r., przyjęto do Sojuszu nowych członków, w tym trzy były republiki radzieckie – Litwę, Łotwę i Estonię. Dzięki temu *NATO* przekroczyło – co jeszcze kilkanaście lat wydawało się niemożliwe – granice dawnego Związku Radzieckiego. Z kolei członkostwo Słowenii oznaczało, że w Sojuszu znalazła się pierwsza z byłych republik Jugosławii, gdzie jeszcze niedawno toczył się najbardziej krwawy od zakończenia II wojny światowej konflikt w Europie. Następne kraje z Półwyspu Bałkańskiego – Chorwację i Albanię przyjęto właśnie 3 kwietnia 2009 r., podczas szczytu *NATO* w Strasburgu i Kehl, w którym uczestniczył już prezydent Obama. W ten sposób dokonał się kolejny akt w procesie przewycięzania podziałów w Europie oraz integracji kontynentu w zakresie bezpieczeństwa.

Ale to co dla jednych było poszerzaniem strefy stabilizacji i bezpieczeństwa, dla innych oznaczało tworzenie z *NATO* mniej sprawnej i skutecznej struktury, w której decyzje zapadają powoli i z trudnością, drogą wyczerpujących negocjacji i konsultacji, a dyspozycyjność sił zbrojnych poszczególnych państw członkowskich pozostawia wiele do życzenia. Nie wchodząc w polemikę z tymi sądami, należy przyznać, że *NATO* „po Bushu” znalazło się w krytycznej sytuacji: z osłabionym przywództwem amerykańskim, trudnościami militarnymi, brakiem wyraźnie sformułowanego kierunku działania, bez zweryfikowanych metod i środków zwalczania głównych zagrożeń. Wreszcie, jakby z zatraconym poczuciem sensu istnienia. Wprawdzie całą pozimnowojenną ewolucję Sojuszu Północnoatlantyckiego cechowało nieustanne konstruowanie argumentów mających uzasadnić znaczenie *NATO*, a także redefiniowanie – czasami z trudem – jego strategicznych zadań. Jednak przykre doświadczenie kryzysu irackiego oraz przeciągająca się operacja w Afganistanie wpędziły Sojusz w najpoważniejszy impas od zakończenia zimnej wojny. Coraz wyraźniejsze stały się rozbieżności pomiędzy państwami członkowskimi w kluczowych sprawach dotyczących przyszłości Sojuszu.

Od nowego prezydenta Stanów Zjednoczonych należało oczekiwać impulsu do wypełnienia nową treścią wspólnoty atlantyckiej, a przede wszystkim podjęcia trudu opracowania nowej koncepcji strategicznej *NATO*. Konieczne było zredefiniowanie obecnej roli Sojuszu, określenie charakteru wewnętrznych relacji, wytyczenie celów, zasięgu, metod i kierunku działania. Problem był tym bardziej palący, że poprzednia koncepcja strategiczna przyjęta została w 1999 r. Od tego momentu wydarzyło się tak wiele, zaszły zasadnicze zmiany na arenie międzynarodowej, z nową siłą ujawniły się różne zagrożenia. Tymczasem przez cały pierwszy rok urzędowania Obamy w Białym Domu uczyniono niewiele, aby te oczekiwania spełnić. Można powiedzieć, że skon-

centrowano się na zadaniach bieżących, pozostawiając na boku działania strategiczne, związane z przyszłością Sojuszu, jego zdynamizowaniem i przywróceniem mu skuteczności w wypełnianiu zadań.

Działania bieżące ogniskowały się na sytuacji w Afganistanie, który ze względu na brak woli większego zaangażowania militarnego większości państw uczestniczących w misji *ISAF* stał się już przyczyną swoistej desolidaryzacji *NATO*. Jeśli chciało się myśleć poważnie o umocnieniu wspólnoty transatlantyckiej i nadaniu jej nowych impulsów, to sukces misji w Afganistanie lub przynajmniej większe poczucie odpowiedzialności i zdecydowana wola współdziałania wydawały się być warunkiem *sine qua non*. Przy czym rola w tym procesie sojuszników europejskich była niebagatelna. Administracja Obamy liczyła szczególnie na Niemcy. Już podczas pierwszego spotkania z sekretarzem stanu Hilary Clinton w Waszyngtonie na początku lutego 2009 r. niemiecki minister spraw zagranicznych Frank-Walter Steinmeier usłyszał, że Niemcy powinny odgrywać większą rolę w Afganistanie. „W tym ważnym momencie potrzebujemy naszych najbliższych sojuszników, takich jak Niemcy, aby pomogli nam odnieść sukces i zapewnić społeczności afgańskiej stabilizację” – mówiła szefowa amerykańskiej dyplomacji⁴⁸. Dla komentatorów nie ulegało wątpliwości, że zwiększone zaangażowanie europejskich sojuszników w Afganistanie postrzegane było przez administrację Obamy jako zasadniczy element „nowej transatlantyckiej agendy”⁴⁹. Jakkolwiek podyktowane to było przede wszystkim interesem Ameryki, nie tylko borykającej się z trudnościami gospodarczymi, ale też obciążonej zaangażowaniem militarnym w Afganistanie oraz Iraku, więc oczekującej większego wsparcia ze strony europejskich sojuszników, to jednak trudno było nie dostrzec w tej nowej agendzie czynnika wzmacniającego układ transatlantycki.

Pod koniec marca 2009 r. prezydent Obama przedstawił własną strategię dla Afganistanu, której celem było odwrócenie losów wojny pod Hindukuszem. Akcentowano w niej polityczne metody działania: proponowano podjęcie negocjacji z różnymi siłami politycznymi w Afganistanie, w tym z umiarkowanymi grupami talibów, rozszerzenie programu szkolenia afgańskich żołnierzy i policjantów, zwiększenie wysiłku na rzecz odbudowy i gospodarczego rozwoju kraju. Jakby w drugiej kolejności sugerowano zwiększenie liczebności operujących w Afganistanie oddziałów wojska, i to nie tylko amerykańskich (o blisko 30 tys.), ale także kontyngentów narodowych. W dużej mierze miało to być powtórzenie skutecznej strategii gen. Davida Petraeusa z Iraku.

Trzeba przyznać, że plany te, zwłaszcza dotyczące rozszerzenia działań o charakterze cywilnym i politycznym, spotkały się z życzliwą reakcją w Europie. Odpowiadały one naturze europejskich zachowań politycznych i były zgodne z opiniami od dawna głoszonymi przez analityków i ekspertów

⁴⁸ *Clinton Calls for German Help in Afghanistan*, 3 II 2009, www.dw-world.com/popups/popup_printcontent/0,4000396,00.html.

⁴⁹ *Clinton preist deutschen Afghanistan-Einsatz*, „Spiegel Online” 3 II 2009, www.spiegel.de/politik/ausland/0,1518,druck-605347,00.html.

w Europie⁵⁰. Jednak już apel, z jakim prezydent Obama zwrócił się do europejskich partnerów podczas swej wizyty w Europie na początku kwietnia 2009 r., o skierowanie do Afganistanu dodatkowych sił z państw sojusznicych, potraktowano równie chłodno, jak niegdyś prośby prezydenta Busha. Był to zresztą jeden z nielicznych, acz znamiennych zgrzytów, kontrastujących z niezwykle przychylną atmosferą towarzyszącą wówczas pobytowi Obamy w Europie. Z największym trudem udało się spośród europejskich państw NATO zebrać dodatkowy 4-tysięczny kontyngent, składający się głównie z policjantów i specjalistów w zakresie szkolenia miejscowych sił bezpieczeństwa, oddelegowanych do Afganistanu, ale jedynie na czas przypadających w sierpniu 2009 r. wyborów prezydenckich.

Tymczasem właśnie w lecie 2009 r., blisko osiem lat po amerykańskiej inwazji na Afganistan, sytuacja w tym kraju uległa dalszemu pogorszeniu. Wzmoczona aktywność zbrojna talibów wiązała się z wyborami prezydenckimi. Cel działań rebeliantów był jasny: chodziło przede wszystkim o zastraszenie Afgańczyków i uniemożliwienie im pójścia do urn wyborczych. Byłoby to uderzenie w wysiłki na rzecz stabilizowania sytuacji i budowy choćby zrębów demokracji w tym kraju. Stąd nie tylko wzrost ataków raketowych na bazy wojsk międzynarodowych, wioski i miasta Afganistanu oraz podejmowanie bezpośrednich walk z patrolami i oddziałami sił międzynarodowych, ale także samobójcze zamachy bombowe, uprowadzenia zakładników i zabójstwa cywilów.

Temu wszystkiemu nie były w stanie sprostać siły NATO. Ekspertki i komentatorzy zgodnie przyznawali, że bez dodatkowych oddziałów Sojusz tę wojnę może przegrać. Stawiano nawet tezę, że „przyszłość Sojuszu rozstrzygnie się pod Hindukuszem”⁵¹. Szacowano, że do Afganistanu należałoby skierować jeszcze co najmniej 45 tys. żołnierzy⁵². Do zwycięstwa potrzebna była również przynajmniej podwojona armia afgańska i liczniejsza policja. W połowie 2009 r. było to ok. 175 tys. żołnierzy i sił policyjnych, wyposażonych i wyszkolonych przez Zachód, których jednak lojalność pozostawała pod dużym znakiem zapytania. Zwiększony kontyngent afgański wymagał tysięcy instruktorów, znaczących funduszy i nowego uzbrojenia. Ale przede wszystkim Afganistan potrzebował sukcesów gospodarczych, podniesienia poziomu życia, edukacji, rozbudowanej infrastruktury, nowych miejsc pracy – jednym słowem rozwoju, gdyż tylko to umacniało państwo i osłabiało front poparcia dla talibów, bazujących na ludzkim niezadowoleniu i frustracji.

W tej sytuacji prezydent Obama, po ponad trzech miesiącach głośnej dyskusji wewnątrz administracji, 1 grudnia 2009 r., podczas pobytu w West Point,

⁵⁰ J. Riester, *Waiting for September: German-American Relations between Elections*, AICGS, No 30, June 2009, s. 2.

⁵¹ B. Riedel, *President Obama's Afghan Gamble*, December 11, 2009, www.brookings.edu/opinions/2009/1203_afghanistan_riedel.aspx?p=1.

⁵² Takie stanowisko prezentował m.in. gen. Stanley McChrystal, naczelny dowódca wojsk amerykańskich i sił międzynarodowych w Afganistanie; zob. szerzej na temat różnych opinii i dyskusji wokół planu prowadzenia operacji afgańskiej: M. S. Indyk, K. G. Lieberthal, M. E. O'Hanlon, *Bending History. Barack Obama's Foreign Policy*, Brookings Institution Press, Washington 2012, s. 87-88.

wystąpił z kolejnym już planem strategicznym wobec Afganistanu. Tym razem nacisk położono przede wszystkim na opcję siłową, jakby uznając że działania polityczne i cywilne nie są w stanie odwrócić biegu spraw. Przychylając się w końcu do opinii licznej grupy ekspertów i wojskowych, w tym głównodowodzącego operacją w Afganistanie gen. Stanleya McChrystala, administracja Obamy zdecydowała się skierować pod Hindukusz następne 30 tys. żołnierzy amerykańskich – ich liczba miała więc wzrosnąć w 2010 r. do niemalże 100 tys. Tak wyraźne postawienie na czynnik wojskowy – jakkolwiek mające swoje racjonalne uzasadnienie – oznaczało pewną nową jakość w polityce administracji Obamy, kontrowersyjną dla wielu obserwatorów, szczególnie w Europie. Z pewnością było to sprzeczne z wizerunkiem prezydenta przedstawiającego negocjacje i metody z gatunku *soft power* nad działania siłowe. Uznając jednak, że wojna w Afganistanie jest wojną konieczną, a nie wojną z wyboru – jak było w przypadku Iraku – Obama podjął odważne, acz wymagające ogromnego wysiłku ludzkiego, finansowego i zbrojnego decyzje – łącznie już trzykrotnie zwiększające amerykański kontyngent w Afganistanie. Nie bez racji po wystąpieniu prezydenta w West Point zaczęto mówić o konflikcie w Afganistanie jako o „wojnie Obamy”. Pojawiały się opinie, że „historia osądzi go za sukces lub porażkę w tej śmiałej rozgrywce – wysłania nowych żołnierzy do Afganistanu”⁵³.

Z perspektywy europejskiej liczyło się nie tylko odejście od *soft power*. W ramach nowego planu Stany Zjednoczone oczekiwały, że także europejscy członkowie *NATO* zwiększą liczebność swoich oddziałów, operujących w ramach misji *ISAF*. Prezydent, przedstawiając w West Point nową strategię, podkreślał, że potrzebny jest większy udział wojsk państw sojuszników, ponieważ „stawką jest nie tylko wiarygodność *NATO* – gra toczy się o bezpieczeństwo nasze, sojuszników i całego świata”⁵⁴. Oznaczało to ni mniej, ni więcej, jak tylko utrzymane w dyplomatycznym tonie oczekiwanie, że sojusznicy europejscy muszą podjąć takie samo ryzyko jak Stany Zjednoczone i nie tylko skierować do Afganistanu więcej żołnierzy, ale także wyposażyć ich w uprawnienia do podejmowania działań zbrojnych. Strona amerykańska nie kryła, że liczy na przynajmniej 10 tys. dodatkowych żołnierzy z państw *NATO* (byłby to wzrost z 42 tys. do 52 tys. żołnierzy sił międzynarodowych)⁵⁵. Miał to być ważny test na solidarność atlantycką.

Tymczasem reakcja Europy była bardziej niż powściągliwa. Wprawdzie A. E. Rasmussen, sekretarz generalny *NATO*, zapowiadał podjęcie przez członków Sojuszu wyzwania i skierowanie do Afganistanu dodatkowych sił w liczbie około 5 tys. żołnierzy, jednak nie znalazło to potwierdzenia w faktach. Wielka Brytania, tradycyjnie najbardziej lojalny sojusznik Waszyngtonu, zaofiarowała ledwie 500 żołnierzy (miała jednak już w Afganistanie blisko 10 tys. żołnierzy), tyle samo zapowiadała Turcja. Natomiast Francja, choć prezydent Nicolas

⁵³ B. Riedel, *President Obama's Afghan Gamble...*; w takim kontekście należy też odczytywać tytuł pracy B. Woodwarta, *Obama's War*, New York 2010.

⁵⁴ Cyt. za „Gazeta Wyborcza” 5-6 XII 2009.

⁵⁵ D. W. Wickham, *Afghanistan not just our fight, but NATO's too*, „US Today” 9 XII 2009.

Sarkozy chwalił plan Obamy jako „odważny, zdecydowany i przejrzysty”, to jednak niczego nie obiecała. Z kolei władze Kanady już wcześniej zapowiedziały, że rozpoczynają przygotowania do wycofania swojego kontyngentu, liczącego prawie 3 tys. żołnierzy. Do końca 2010 r. z Afganistanu miało wyjechać 1,6 tys. Holendrów. W takim kontekście decyzję władz polskich, podjętą wbrew nastrojom społecznym (zaledwie 15-20 proc. badanych popierało obecność polskiego kontyngentu pod Hindukuszem), skierowania do Afganistanu dalszych 600 żołnierzy, czy działania Słowacji, która zapowiedziała wysłanie 250 żołnierzy, należało – z amerykańskiej perspektywy – ocenić jako niezwykle znaczące, biorąc pod uwagę realne możliwości i potencjały tych dwóch krajów⁵⁶.

Szczególna sytuacja panowała w Niemczech, gdzie kwestia wysłania dodatkowych sił Bundeswehry wywołała ostry spór, w którym linia podziału przebiegała nie tylko między opozycją a stroną rządową, ale również dzieliła dopiero co powołaną po jesiennych wyborach do Bundestagu w 2009 r. koalicję CDU/CSU-FDP. W trakcie tej debaty wyszły na jaw tragiczne okoliczności wydarzeń z września 2009 r., gdy to na rozkaz niemieckiego dowództwa bazy w prowincji Kunduz amerykańskie samoloty zbombardowały wskazany cel. W efekcie fatalnej – jak się wydawało – pomyłki zginęło ponad 70 Afgańczyków, w większości cywili. Ujawnione w grudniu 2009 r. fakty wskazywały, że była to realizacja tajnego planu likwidacji ważnych przywódców rebeliantów, zatwierdzonego przez rząd w Berlinie. Dla niemieckiej opinii publicznej, zdecydowanie przeciwnej nie tylko zbrojnym operacjom w Afganistanie, ale nawet obecności tam niemieckich żołnierzy (jedynie 32 proc. Niemców opowiadało się za utrzymaniem niemieckiego kontyngentu pod Hindukuszem)⁵⁷, były to informacje wstrząsające. Już we wrześniu 2009 r. odpowiedzialni za ten tragiczny incydent niemieccy oficerowie i wyżsi urzędnicy zostali zdymisjonowani, w grudniu miały miejsce kolejne dymisje.

W tych okolicznościach trzeba uznać za akt swego rodzaju politycznej odwagi oraz wyraz sojuszniczej solidarności działanie kanclerz Merkel, która przekonała koalicyjną FDP do decyzji o wysłaniu dodatkowych żołnierzy Bundeswehry do Afganistanu. Niemiecki kontyngent, liczący już około 4300 żołnierzy, miał być zwiększony o kolejnych 500 wojskowych, zaś 350 żołnierzy miało stanowić specjalne siły rezerwowe, gotowe na ewentualny wyjazd w rejon konfliktu. Ogłoszenie decyzji nastąpiło 26 stycznia 2010 r., a w lutym Bundestag przedłużył misję wojskową Bundeswehry w Afganistanie oraz zwiększył niemiecki kontyngent z 4500 do 5350. Zakładano, że do końca 2010 r. kontyngent niemiecki będzie liczyć 5 tys. żołnierzy⁵⁸. Dodatkowo Berlin zamierzał przeznaczyć 71 mln dol. w ciągu najbliższych 5 lat na rzecz odbudowy i rozwoju Afganistanu⁵⁹. Gest ten miał na celu osłabić wrażenie, że

⁵⁶ Dane cyt. w: „Gazeta Wyborcza” 10-11 XI 2009 i 3 XII 2009.

⁵⁷ *German positive about NATO leaders, dislike Afghanistan mission*, „Deutsche Welle” 3 IV 2009, www.dw-world.de.

⁵⁸ *Ibidem*.

⁵⁹ Statement der Bundeskanzlerin zur Konzeption der Bundesregierung für die Afghanistan-Konferenz in London, 26 I 2010: www.bundesregierung.de/Content/DE/Mitschrift/Pressekonferenzen/2010/01/2.

koalicja chadecko-liberalna, wysyłając kolejnych żołnierzy pod Hindukusz, podejmuje się zobowiązań dalekich od zasady *Zivilmacht*. Nie zmieniało to jednak faktu, że kanclerz Merkel, decydując się – wbrew nastrojom społecznym – na wprowadzenie ograniczonego liczbowo (Bundeswehra liczyła ponad 250 tys. żołnierzy), ale jednak znaczący akt solidarności atlantyckiej, potwierdzała swoją determinację działania nie tylko na rzecz dobrych stosunków niemiecko-amerykańskich, ale także wzmacniania układu transatlantyckiego.

Odniesienie tych faktów do stosunków transatlantyckich prowadzi do konkluzji przykrej i równocześnie bardzo wymownej dla administracji Obamy. Okazało się, że niechętna postawa Europy wobec konfliktu afgańskiego i związanych z tym zobowiązań sojuszniczych była nie tylko efektem stosunku do poprzedniego gospodarza Białego Domu. Zarówno reakcja na sugestie wyrażone przez administrację Obamy w kwietniu 2009 r., jak i odpowiedź na plan grudniowy potwierdzały, że większość polityków w Europie, podobnie jak europejska opinia publiczna, nie uważały wojny w Afganistanie za walkę z terroryzmem o charakterze egzystencjalnym. Zaangażowanie państw europejskich w ten konflikt było raczej wymuszone sojuszem z USA, ewentualnie zobowiązaniami w ramach NATO, a nie spowodowane poczuciem realnego zagrożenia dla swoich żywotnych interesów. Dlatego tak niechętnie reagowano na apele Waszyngtonu, mimo że pochodziły one od – jak się zdawało – powszechnie na kontynencie europejskim lubianego prezydenta Obamy. Choć istniało przekonanie, podzielane przez europejskich polityków, wojskowych i ekspertów, że Afganistan to wielka próba dla skuteczności NATO i test sprawdzający – z perspektywy Waszyngtonu – znaczenie układu transatlantyckiego, to jednak Europa demonstrowała wyjątkową powściągliwość w reagowaniu na apele amerykańskiego prezydenta, jakby nie przywiązując wagi do tego, jakie to może mieć konsekwencje dla jej pozycji i roli w polityce Stanów Zjednoczonych. Natomiast Obama, deklarując wolę traktowania Europy jako partnera, z którym zamierza się konsultować i wspólnie z nim dyskutować o wielu sprawach, oczekiwał od państw europejskich, że zarówno w Afganistanie, jak i na innych polach zwiększą swe zaangażowanie i podejmą wyzwania. Jednak w stolicach europejskich tej woli pozytywnego ustosunkowania się do amerykańskiej oferty partnerstwa i gotowości do wzięcia na siebie znacznie większego niż dotąd ciężaru odpowiedzialności na miarę oczekiwań Waszyngtonu raczej nie było. Pojawiały się za to krytyczne uwagi, że prezydent Obama nie chce niczego więcej od Europy, jak tylko nowych oddziałów wojsk w Afganistanie⁶⁰. Rzeczywiście, można było odnieść wrażenie, że amerykański prezydent zaczyna oceniać swych europejskich partnerów właśnie przez pryzmat ich gotowości do współdziałania, a zwłaszcza większego zaangażowania się w Afganistanie. Zdawał się być zniecierpliwiony paralizem, choćby Unii Europejskiej, która

⁶⁰ Zob. wypowiedzi podczas spotkania w Waszyngtonie w ramach Bergedorfer Gesprächskreis (9-11. III 2010) opublikowane w: *Grenzen der Macht: Europa und Amerika in einer neuen Weltordnung*, Hamburg 2010, s. 28-30.

pomimo deklaracji o istnieniu *CSDP* (*Common Security and Defence Policy*) nie była w stanie jasno, odważnie i skutecznie zaprezentować się jako ważny gracz na arenie międzynarodowej.

Odnosiło się to zresztą także do sugestii Waszyngtonu, aby państwa europejskie, które tak potępiały długotrwałe przetrzymywanie w Guantanamo podejrzewanych o terroryzm, przejęły część kłopotliwych więźniów i w ten sposób pomogły Obamie zrealizować jego obietnice na temat tego osławionego więzienia w amerykańskiej bazie na Kubie. Reakcja większości przywódców europejskich była bardziej niż wstrzemięźliwa. A wiadomo było, że zwolnienie wszystkich więźniów, w tym najgroźniejszych terrorystów, nie wchodzi w grę. Tym bardziej że znaczna część wcześniej wypuszczonych z Guantanamo zdążyła już wrócić do działalności terrorystycznej. Tak więc i w tym wypadku administracja Obamy czuła się rozczarowana postawą europejskich stolic⁶¹.

Nie bez racji zatem niemieccy analitycy postulowali, aby to Berlin odegrał większą rolę w mobilizowaniu i aktywizowaniu wspólnoty europejskiej. Przestrzegali, że w przeciwnym razie „administracja Obamy, zniechęcona biernością UE może zwrócić się do innych partnerów i skoncentrować na innych geograficznie obszarach współpracy”. Zaś Niemcy tracą na znaczeniu, „nie tylko wówczas gdy nie spełnią pokładanych w nich nadziei i oczekiwań, ale także wtedy gdy nie przejmą inicjatywy i nie będą w stanie zmobilizować innych”⁶². Wydaje się, że na taką rolę Berlina liczyła administracja Obamy. I to pomimo „uprzejmego dystansu” utrzymującego się między prezydentem a panią kanclerz.

W takim bowiem kontekście należy oceniać wizytę Angeli Merkel w Waszyngtonie na początku listopada 2009 r. Jej najważniejszym momentem było wystąpienie niemieckiej kanclerz w Kongresie. Sam fakt, że jako zaledwie drugi w historii stosunków amerykańsko-niemieckich kanclerz RFN mogła przemówić na sesji połączonych izb Kongresu, należy uznać za wyraz szczególnego wyróżnienia. Przed nią na Kapitolu w 1957 r. wystąpił tylko „ojciec powojennych Niemiec” i autor orientacji atlantyckiej w niemieckiej polityce zagranicznej – Konrad Adenauer. Zatem zaproszenia kanclerz Merkel na Kapitol nie można było odczytać inaczej, jak tylko jako potwierdzenie szczególnej roli Republiki Federalnej na arenie międzynarodowej. Zresztą całe przemówienie szefowej niemieckiego rządu, w którym było miejsce zarówno na historyczną refleksję, emocje, jak i wizję przyszłości, służyło umocnieniu tego wrażenia. Niezwykle istotne były fragmenty odnoszące się do relacji transatlantyckich, gdyż wtedy właśnie kanclerz Merkel zaprezentowała się niczym czołowy lider Europy, występujący w jej imieniu i rysujący wizję na miarę jednoczącego się kontynentu.

Odwołując się do pamiętnej frazy prezydenta George’a H. W. Busha seniora z 1989 r., kanclerz nazwała relacje amerykańsko-europejskie „partnerstwem w przywództwie”. W ten sposób dowodziła nowego, bardziej zrównoważonego

⁶¹ *Obama Calls Europe...*; także *German Split on Offering US Help With Guantanamo Inmates*, 21 I 2009, www.dw-world.de/popups/popup_printcontent/0,,3965139,00.html

⁶² J. Riester, *op. cit.*, s. 7.

charakteru układu transatlantyckiego. To „partnerstwo w przywództwie” – twierdziła Merkel – powinno wyrażać się we wspólnym rozwiązywaniu najważniejszych problemów, konfliktów i wyzwań współczesności: Bliski Wschód, Afganistan, Iran i jego program nuklearny, walka ze zmianami klimatycznymi, problemy gospodarcze. „Niemcy są jednością, Europa jest zjednoczona. To jest to, co osiągnęliśmy. Teraz my, politycy obecnej generacji, musimy udowodnić, że jesteśmy w stanie podjąć wyzwaniom XXI w., (...) obalić mury współczesnego świata” – mówiła w duchu niemalże amerykańskiego posłannictwa kanclerz Niemiec. Zaś zwracając się do Amerykanów wezwała do silniejszego zaangażowania się w walkę ze zmianami klimatycznymi. I konkludowała: „świat patrzy na nas. Nie mamy czasu do stracenia”⁶³.

Wprawdzie Merkel nie uzyskała formalnego mandatu przemawiania w imieniu Europy, ale zaprezentowana przez nią wizja współpracy atlantyckiej, choć pozbawiona konkretnych propozycji i raczej pozostająca w sferze podniosłej retoryki, musiała się podobać w Waszyngtonie. Współgrała bowiem z oczekiwaniami formułowanymi przez prezydenta Obamę. Także kanclerz Niemiec nową rolę i znaczenie integrującej się Europy wiązała z większą odpowiedzialnością za globalne bezpieczeństwo, gospodarkę, ekologię oraz inne większe i mniejsze problemy współczesności. Równocześnie też umacniała obraz silnych, zjednoczonych Niemiec, które – w przeciwieństwie do tego co było w przeszłości – nie stanowią ani zagrożenia ani wyzwania, raczej są niezbywalnym elementem demokratycznego ładu. Mogą skuteczniej niż kiedykolwiek wcześniej w powojennych dziejach współtworzyć obraz obecnego świata⁶⁴. Pytaniem jednak pozostało to, czy Niemcy i Europa wprowadzą te zapowiedzi w czyn. Czy będą chciały pozytywnie odpowiedzieć na formułowane pod ich adresem oczekiwania i odegrać rolę strategicznego partnera Stanów Zjednoczonych? Wiadomo, że z jednej strony wymagać to będzie większego poświęcenia i zaangażowania, przełamania oporów społecznych, z drugiej zaś – wspólnej strategicznej wizji.

Głównym forum tworzenia takiej wspólnej wizji transatlantyckiej pozostało *NATO*, gdzie od początku 2010 r. toczyła się dyskusja nad nową koncepcją strategiczną. Wśród wielu kwestii i tematów, które próbowano rozwiązać w trakcie tej debaty i prowadzonych już prac analitycznych, była sprawa określenia charakteru *NATO*: czy ma ono pozostać organizacją obronną, skoncentrowaną na obszarze euroatlantyckim, czy ma być teraz czynnikiem bezpieczeństwa zbiorowego ze zwiększonymi możliwościami ekspedycyjnymi, utwierdzoną aktywnością interwencyjną w różnych miejscach kuli ziemskiej. Chodziło zatem o rzecz zasadniczą – rozstrzygnięcie dylematu globalizacji działań Sojuszu.

Był zatem konieczny powrót do rozważań, które ponad 10 lat wcześniej zdominowały dyskusję nad nową koncepcją strategiczną *NATO*⁶⁵.

⁶³ Speech by Federal Chancellor Angela Merkel before the United States Congress, 3 XI 2009; www.bundesregierung.de/Content/EN/Reden/2009/2009-11-03-merkel-usa-kon.

⁶⁴ Zob. A. Applebaum w „Washington Post” 3 XI 2009.

⁶⁵ Zob. J. Kiwerska, *Gra o Europę. Bezpieczeństwo europejskie w polityce Stanów Zjednoczonych pod koniec XX w.*, Poznań 2000, s. 146-152.

Z tą jednak różnicą, że Sojusz praktycznie dokonał już wyboru. Podjmując się misji wojskowej w Afganistanie, „przekroczył Rubikon” – nie ograniczał się już tylko do obszaru euroatlantyckiego. Przejęcie przez Sojusz odpowiedzialności za całość operacji w Afganistanie, począwszy od działań zbrojnych, a na budowie dróg i szkół skończywszy, stanowiło rodzaj testu jego możliwości transformacyjnych⁶⁶. Zdaniem niektórych komentatorów oznaczało to, że nie ma już dyskusji, czy i gdzie może działać NATO. Nie ma już żadnych ograniczeń geograficznych dla operacji wojskowych Sojuszu. Jeśli są jakieś bariery, to mają one charakter polityczny, musi bowiem istnieć konsensus państw i ich ewentualna akceptacja uczestnictwa, zgoda na wysłanie wojsk. Innymi słowy – „bez wielkich fanfar Pakt Północnoatlantycki stał się organizacją o zasięgu globalnym. (...) Zresztą tylko naprawdę globalny sojusz może sprostać dzisiejszym globalnym wyzwaniom” – dowodzili analitycy⁶⁷.

Nie był to jednak problem rozstrzygnięty do końca i akceptowany przez wszystkich. Jego istota bowiem sprowadzała się do pytania o to, czy NATO ma pełnić rolę żandarma świata, stając się tym samym elementem globalnej polityki USA – o co bezskutecznie walczyła już kiedyś administracja Clintona. Czy głównym zadaniem powinno pozostać bezpieczeństwo i obrona terytorium państw członkowskich, czyli trwanie przy pierwotnych funkcjach Sojuszu? Opinie były podzielone, podlegały też stopniowej ewolucji pod wpływem nowych faktów i wydarzeń na arenie międzynarodowej⁶⁸. Jeszcze w 2006 r. sekretarz generalny organizacji Jaap de Hoop Scheffer przekonywał w wywiadzie dla polskiej prasy, że „NATO nie jest i nie będzie żandarmem świata. Sprzeciwiam się pomysłowi stworzenia jakiegoś globalnego NATO”⁶⁹. Jednak kilka lat później, w marcu 2009 r., ten sam szef Paktu Północnoatlantyckiego nie był już tak kategoryczny. Podtrzymując tezę, że Sojusz Północnoatlantycki nie może stać się ONZ-bis, dodawał, że jego odpowiedzialność nie może ograniczać się tylko do obrony terytorium państw członkowskich. „Zmieniający się świat wymaga zmiany NATO” – podkreślał w wywiadzie dla niemieckiego „Der Spiegel”⁷⁰.

Politycy europejscy różnie widzieli ten problem. Do zwolenników reformy Sojuszu, która uwzględniłaby konieczność reagowania na różne zjawiska, typu proliferacja broni masowego rażenia, terroryzm czy kryzysy regionalne, a nawet odgrywania globalnej roli, należały – obok Stanów Zjednoczonych – także Wielka Brytania, Kanada i Dania. Logiczną konsekwencją była postulowana przez te państwa rozbudowa zdolności interwencyjnych NATO. Zresztą

⁶⁶ M. Berdal, D. Ucko, *NATO at 60*, „Survival” vol. 51, no 2, April-May 2009, s. 55.

⁶⁷ I. H. Daalder, J. Goldgeier, *Global NATO*, www.brookings.edu/articles/2006/09global_governance_daalder.aspx?p=1; także A. Bilski, *Globalne NATO? – Yes we can!*, „Gazeta Wyborcza” 20 II 2009.

⁶⁸ Zob. M. Berdal, D. Ucko, *NATO at 60...*, s. 72-73.

⁶⁹ Wywiad z Jaapem de Hoop Schefferem: *NATO nie będzie żandarmem świata*, „Gazeta Wyborcza” 8 XI 2006.

⁷⁰ Wywiad z Jaapem de Hoop Schefferem: *Wir brauchen ein neues Konzept*, „Der Spiegel” 28 III 2009.

w takim celu utworzono w reakcji na zamach 11 września 2001 r. specjalne *NATO Response Force*. Natomiast Francję, Niemcy i południowoeuropejskich członków Sojuszu należy zaliczyć do grupy państw opowiadających się za utrzymaniem *status quo*, czyli ograniczonym użyciem przez Sojusz siły militarnej w zwalczaniu zagrożeń, a jeśli ją dopuszczano, to pod warunkiem uzyskania mandatu ONZ⁷¹.

Brak zgodności można było dostrzec nawet w poszczególnych państwach. Tak było na przykład w Niemczech, gdzie w okresie rządów „wielkiej koalicji” – *CDU/CSU-SPD* szef niemieckiej dyplomacji F.-W. Steinmeier konsekwentnie odrzucał tezę o przekształceniu Sojuszu w organizację bezpieczeństwa globalnego: „Jestem przekonany, że priorytetem *NATO* musi pozostać bezpieczeństwo euroatlantyckie. Naszym celem nie może być uczynienie z niego światowego policjanta”⁷². Z kolei kanclerz Merkel przyznawała, że *NATO* musi szerzej określić swą misję, a nawet zarysować formuły współpracy z innymi organizacjami w rozwiązywaniu problemów globalnych, takich jak: terroryzm, zmiany klimatyczne i kataklizmy⁷³. Z niemieckich kręgów wojskowych wychodziły natomiast sygnały wskazujące, że *NATO* powinno ograniczać swe interwencje. Jego bowiem celem głównym jest pokój i stabilizacja w Europie. Nie może więc trwonić swych zasobów na zadania dalekie od traktatowej misji Sojuszu, takie jak walka z kataklizmami czy zabezpieczanie np. imprez sportowych⁷⁴.

Nawet w Polsce, której braku zaangażowania w operacje *out of area* nikt – jak dotąd – nie mógł zarzucić, pojawiały się różne opinie. „Oczekujemy, że Sojusz będzie rozwijał zrównoważoną politykę obronną. Dostrzegając dalekie zagrożenia, nie straci z oczu pierwotnej funkcji kolektywnej obrony państw członkowskich. Działania na rzecz obrony terytorium państw członkowskich powinny być traktowane priorytetowo” – pisali w marcu 2009 r. Aleksander Szczygło i Witold Waszczykowski, ówczesni szefowie Biura Bezpieczeństwa Narodowego. Związani z prezydentem Lechem Kaczyńskim wysocy urzędnicy dodawali też, że angażując się w odległe operacje, powinniśmy wcześniej definiować nasze cele i ambicje. Czy operacja ma służyć jedynie powstrzymaniu kryzysu, aby nie dotarł on do naszych granic? Czy cel jest szerszy – rozwiązywanie światowych problemów⁷⁵. W podobnym duchu wypowiadał się ówczesny minister obrony narodowej Bohdan Klich: „Polska jest zwolennikiem zachowania tradycyjnego charakteru Sojuszu [obrona

⁷¹ B. Górka-Winter, *Francja, w: Państwa członkowskie NATO wobec nowej koncepcji strategicznej Sojuszu. Przegląd stanowisk*, red. B. Górka-Winter, M. Madej, PISM, Warszawa, marzec 2010; A. D. Rotfeld, *W kierunku nowej koncepcji strategicznej NATO. Przyszłe zadania i wyzwania Sojuszu a rola partnerów*, w: *ibidem*, s. 134.

⁷² Cyt. w: *Verteidigungsbindnis: Für Merkel soll NATO-Gipfel Bündnis stärken*, Zeit online www.zeit.de/news/artikel/2009/03/28/2762069.xm.

⁷³ *Ibidem*.

⁷⁴ U. Weisser, *Breaking the Taboos*, „The Security Times” February 2009; także *Die NATO kann nicht als Weltpolizist eingesetzt werden*, wywiad z b. przewodniczącym Komisji Wojskowej *NATO* generałem w stanie spoczynku Haraldem Kujatem, Deutschlandfunk, 3 IV 2009, www.dradio.de/dlf/sendungen/interview_dlf/945089/.

⁷⁵ A. Szczygło, W. Waszczykowski, *Jakiego NATO chcemy*, „Gazeta Wyborcza” 16 III 2009.

obszaru traktatowego – przyp. J.K.], przy doskonaleniu wspólnych zdolności prowadzenia operacji stabilizacyjnych”⁷⁶.

Jednak główną troską polskich polityków – podobnie jak przywódców innych państw z Europy Środkowo-Wschodniej – było raczej to, czy *NATO* będzie miało plany obronne w razie ataku ze Wschodu. Z utrzymaniem klasycznego, obronnego charakteru Paktu wiązał się – w pewnym momencie szeroko dyskutowany – problem zobowiązań sojusznicznych, wynikających z art. 5 traktatu waszyngtońskiego, czyli tzw. reasekuracji. Nakłada on na wszystkie państwa obowiązek przyścia z pomocą sojusznikowi, w jak najkrótszym czasie i z jak największymi siłami. Dotychczas został on zaledwie jeden raz wprowadzony w życie. Stało się to we wrześniu 2001 r., po ataku terrorystycznym na Amerykę. Jednak już wówczas pojawiły się pełne sceptycyzmu głosy, czy państwa sojusznicze są zobowiązane do udzielenia bezwarunkowej pomocy i kto powinien zakres tej pomocy określać. Wtedy pozostało to zaledwie teoretycznym dylematem, gdyż atakując Afganistan administracja Busha *de facto* nie zdecydowała się skorzystać z pomocy sojuszników (z wyjątkiem Wielkiej Brytanii). A zatem art. 5 w zasadzie nie został zastosowany.

Do tematu powrócono przy okazji dyskusji nad nową koncepcją strategiczną Sojuszu i w kontekście zapowiadanego ponownego przystąpienia Francji do struktur wojskowych *NATO*. Problem ożywił też konflikt w Gruzji z sierpnia 2008 r. dowodzący, że bezpieczeństwo europejskie nie jest stanem danym raz na zawsze. Zaniepokojenie wyraziły wówczas państwa bałtyckie, gdyż uświadomiono sobie, że nie tylko nie ma planów obrony ich terytoriów, ale wątpiono w powszechną wolę podjęcia ewentualnie takich działań. Dlatego zaczęto zastanawiać się nie tylko nad tym, jak w praktyce wypełnić gwarancje wynikające z art. 5, ale czy zapis ten jest w ogóle obligatoryjny. Francja na przykład deklarowała, że odrzuca automatyzm działania mechanizmu art. 5 i pozostawia sobie prawo do ocen i decyzji w tej dziedzinie⁷⁷.

Takie stwierdzenia, powtórzone przez inne państwa członkowskie, mogłyby całkowicie zburzyć fundament, na którym zbudowano *NATO*, a przynajmniej podważyć wiarygodność i znaczenie Sojuszu. Dlatego w pewnym momencie nie kwestia zasięgu działania Sojuszu i ewentualnego nadania mu charakteru globalnego dominowały w dyskusji, ale właśnie problem interpretacji tego zasadniczego dla Sojuszu artykułu 5. Konieczne i ważne było więc usunięcie wszelkich dwuznaczności w rozumieniu zapisów traktatu waszyngtońskiego. Stąd znaczenie przyjętej w kwietniu 2009 r., podczas szczytu *NATO* w Strasburgu i Kehl, deklaracji zawierającej jednoznaczne sformułowania: „Silna wspólnotowa obrona ludności, terytoriów i sił jest podstawowym celem Sojuszu i pozostaje najważniejszym zadaniem w zakresie bezpieczeństwa”⁷⁸.

⁷⁶ Wywiad z Bogdanem Klichem: *NATO jak muszkietierowie*, „Gazeta Wyborcza” 19 II 2009.

⁷⁷ N. Busse, *Krieg gegen Russland? Die Nato diskutiert über die Lehren aus dem Georgien-Konflikt*, „Frankfurter Allgemeine Zeitung” 3 XI 2008.

⁷⁸ NATO Summit: Strasbourg/Kehl Summit Declaration, April 2009; www.acronym.org.uk/official-and-govt-documents/nato-summit-strasbourgkehl-summit-declaration-april-2009.

Stanowiło to dobry punkt wyjścia do opracowania nowej koncepcji strategicznej Sojuszu, gdyż zachowywało jego podstawy.

W kwestii globalizacji działań *NATO* szef polskiej dyplomacji Radosław Sikorski zgadzał się, że także europejska część *NATO* – reagując na oczekiwania ze strony Waszyngtonu – powinna wziąć na siebie większą odpowiedzialność za rozwiązanie ważnych dla współczesnych interesów zadań. Obok Afganistanu w orbicie zainteresowań i aktywności Sojuszu powinny znaleźć się zagrożenia związane z Iranem, sytuacja w Afryce, a nawet zagrożenia ochrony środowiska naturalnego⁷⁹. O globalnym zaangażowaniu Paktu mówił także analityk w dziedzinie bezpieczeństwa Artur Bilski dowodząc, że dokonał się już mentalny przełom: po interwencji w Afganistanie nie istnieją ograniczenia dla doktryny *NATO*, przestała ona obejmować tylko obszar transatlantycki. Nowa koncepcja strategiczna powinna uczynić z Sojuszu organizację o globalnym zasięgu, a właściwie tylko potwierdzić jego nowy szeroki charakter⁸⁰.

Spośród europejskich państw członkowskich Sojuszu najsilniej za wzmocnieniem jego zdolności interwencyjnych opowiadali się Brytyjczycy. Propagowali nawet pomysł utworzenia kolejnych, specjalnych jednostek *NATO*, wysyłanych na terytorium zagrożonych państw – tzw. Sojuszniczych Sił Solidarności. Po przeciwległej stronie znajdowali się natomiast Francuzi, sceptyczni i zdystansowani wobec koncepcji uczynienia z *NATO* „globalnego strażnika bezpieczeństwa”.

Tymczasem administracja Obamy, uznając – podobnie jak było to w okresie urzędowania Clintona – znaczenie *NATO* jako organizacji kluczowej dla bezpieczeństwa euroatlantyckiego, oczekiwała również podjęcia przez państwa członkowskie globalnych zobowiązań, i większego wsparcia Stanów Zjednoczonych w operacjach *out of area*. Chodziło nie tylko o Afganistan, choć miał on znaczenie kluczowe, gdyż weryfikując rzeczywiste możliwości i skuteczność oraz wspólnotowość *NATO*, mógł przesądzić o przyszłości Paktu. Administracja Obamy liczyła też na przejęcie przez Europę większych obciążeń w transatlantyckich strukturach obronnych w ogóle. Mówił o tym wyraźnie prezydent podczas szczytu *NATO* w kwietniu 2009 r., pisali amerykańscy eksperci, którzy jednak stawiali najważniejsze w tej dyskusji pytanie o możliwość podołania przez Sojusz kolejnym wyzwaniom. Charles A. Kupchan zastanawiał się, czy wobec trudności, z jakimi *NATO* boryka się w Afganistanie, możliwe byłoby podjęcie przez sojuszników nowych zadań, np. w strefie Gazy, czy innych odległych od areny euroatlantyckiej regionach świata⁸¹.

Pojawiał się też pomysł, bazujący na doświadczeniu afgańskim, aby zmienić *NATO* w sojusz dwóch grup. Jednej – *hard power*, składającej się z państw, których żołnierze będą gotowi walczyć (oprócz Stanów Zjednoczonych, byłyby to m.in. Polska, Kanada, Wielka Brytania) i drugiej części – *soft power* – mniej chętnej do podejmowania działań zbrojnych, która zajęłaby się pomocą woj-

⁷⁹ R. Sikorski, *Good luck, Mr. President*, „Gazeta Wyborcza” 20 I 2009.

⁸⁰ A. Bilski *Globalne NATO?*...

⁸¹ Ch. A. Kupchan, *NATO's Hard Choices*, „New York Times” 31 III 2009.

skową, szkoleniową, gospodarczą i finansową. I do tej grupy, obok Francji i krajów Beneluksu, zaliczano także Niemcy. Pomysł podziału zadań w Sojuszu krążył w kręgach polityków i ekspertów, nie wzbudzając jednak entuzjazmu wśród większości państw.

Wobec wielu dylematów i problemów, wpływających na kondycję Sojuszu, nie dziwi fakt, że jego umocnienie tak bardzo wiązano z nową koncepcją strategiczną. Jej przyjęcie na szczycie NATO w Lizbonie 19 listopada 2010 r., poprzedzone dyskusjami, a także pracami koncepcyjnymi specjalnie powołanej grupy ekspertów (*NATO Expert Group on the New Strategic Concept*), uznano za ważny etap wysiłków konsolidujących Sojusz⁸². Dokument lizboński był próbą odpowiedzi na zasadniczy dylemat NATO wynikający z napięcia między podstawowymi funkcjami Sojuszu a jego globalnym zaangażowaniem.

Koncepcja strategiczna, kreśląc trzy zasadnicze zadania Sojuszu – obrona zbiorowa, opanowywanie kryzysów oraz bezpieczeństwo zbiorowe – starała się zharmonizować działania *out of area* z zadaniem podstawowym – funkcją obronną NATO. Służyło temu choćby uznanie dla wagi obrony terytorialnej, będącej nadal *raison d'être* Sojuszu. Wzmocnieniu tej funkcji Sojuszu służyć miało wprowadzenie działań reasekuracyjnych (aktualizacja planów ewentualnościowych, budowa systemu obrony przeciwrakietowej, manewry wojskowe na terytorium nowych państw członkowskich). Równocześnie jednak wprowadzono szersze rozumienie obrony terytorium sojuszniczego, zaliczając doń także interwencje militarne poza obszarem traktatowym. W strategii lizbońskiej napisano: „Kryzysy i konflikty poza granicami NATO mogą stanowić bezpośrednie zagrożenie bezpieczeństwa terytorium i populacji państw Sojuszu. Dlatego NATO będzie się angażować, gdy będzie to możliwe i konieczne, na rzecz zapobiegania kryzysom, ich opanowywania, stabilizowania sytuacji po zakończeniu konfliktu i wspierania odbudowy”.

Z kolei umocnieniu relacji amerykańsko-europejskich *sensu stricto* służyć mógł *passus*, gdzie specjalne znaczenie przypisano partnerstwu z Unią Europejską, którą uznano za „wyjątkowego i głównego partnera dla NATO”. Wyraźnie podkreślono, że obie organizacje powinny odgrywać komplementarną rolę we wspieraniu pokoju i bezpieczeństwa w świecie. Co więcej, NATO deklarowało wolę wzmocnienia współpracy w zakresie operacji antykryzysowych (m.in. poprzez koordynowane planowanie i współpracę operacyjną) oraz zdolności wojskowych. Jeśli czegoś zabrakło w odniesieniu do relacji NATO – UE, to z pewnością zapowiedzi stworzenia jednego forum dialogu o szerszej, politycznej agendzie. Pomimo tego należało uznać, że nowa Koncepcja strategiczna wyrażała wolę i potrzebę pogłębienia wymiaru transatlantyckiego NATO poprzez zacieśnienie jego więzi instytucjonalnych z UE.

⁸² „Strategic Concept for the Defense and Security of the Members of the North Atlantic Treaty Organization” Adopted by Heads of State and Government in Lisbon. „Active Engagement, Modern, Defense”. Rozwinięcie niektórych założeń Koncepcji znalazło się w deklaracji ze szczytu: „Lisbon Summit Declaration. Issued by the Heads of State and Government participating in the meeting of the North Atlantic Council in Lisbon on 20 November 2010”. Press Release Communiqué de press. PR/CP(2010)0155.

Przyjęta w Lizbonie Koncepcja strategiczna niewątpliwie rozwiązywała główny dylemat Sojuszu, wywołujący stan napięcia między jego członkami lub przynajmniej osłabiała jego dezintegracyjne skutki. Kompromisowe zapisy odnoszące się do działań *out of area* – z jednej strony oraz wzmocnienie pierwotnej funkcji skoncentrowanej na obronie zbiorowej – z drugiej, służyło odbudowie spójności *NATO*, kluczowej dla jego przyszłości. Jakkolwiek nie oznaczało to całkowitej eliminacji różnic w stanowiskach poszczególnych państw członkowskich, to już ich wyraźne zdiagnozowanie i próba przezwyciężenia miały istotne znaczenie. Koncepcja strategiczna – jak oceniano – wprowadziła *NATO* w nową fazę działania i przygotowała Sojusz do reagowania na różne wyzwania i zagrożenia⁸³. Pozostała jednak wątpliwość, czy państwa członkowskie będą gotowe realizować zapisy przyjęte w Lizbonie, a zwłaszcza czy zdołają przełamać społeczne opory przeciwko zaangażowaniu militarnemu. Tu bowiem leżała zasadnicza przyczyna sporu i taki był główny powód różnicy stanowisk.

⁸³ K. Malinowski, *Europa i USA wobec przyszłości Sojuszu Północnoatlantyckiego*, „Przegląd Zachodni” nr 1/2013, s. 52.

Arabska wiosna i interwencja w Libii

Bardzo szybko państwa członkowskie zostały poddane sprawdzianowi, który do pewnego stopnia weryfikował ich gotowość realizowania nowej Koncepcji strategicznej. Dynamika wydarzeń, których areną od początku 2011 r. stała się Afryka Północna i Bliski Wschód, określanych mianem „arabskiej wiosny” lub „rewolucji arabskiej”, zaskoczyła i zaniepokoiła cały Zachód. Z drugiej strony, podjęcie wyzwania można było traktować jako czynnik nadający nowy sens istnieniu i funkcjonowaniu układu transatlantyckiego. Wystarczyło wspólnie określić strategię wobec rewolucji arabskiej i konsekwentnie we współpracy Stanów Zjednoczonych z sojusznikami europejskimi ją realizować.

Wybuch społecznego niezadowolenia w krajach arabskiej Afryki i Bliskiego Wschodu, zapoczątkowany w grudniu 2010 r. w Tunezji, następnie obejmujący swym zasięgiem Egipt, Bahrajn, Libię i Syrię – żeby wymienić tylko najważniejsze państwa ogarnięte rewoltą – postawił Amerykę i Europę w niezwykle trudnej sytuacji. Istota problemu polegała na tym, że niektóre chwiejące się w posadach autorytarne reżimy, zwłaszcza Hosniego Mubaraka w Egipcie, dotychczas należały do głównych sojuszników Zachodu w regionie. Dość przypomnieć, że po Iraku, Afganistanie oraz Izraelu to właśnie Egipt był największym odbiorcą amerykańskiej pomocy w wysokości 1,5 mld dol. rocznie, w tym 1,3 mld dol. otrzymywał w ramach wsparcia wojskowego⁸⁴. W ten sposób Amerykanie, a także Europejczycy zabezpieczali swoje strategiczne interesy na Bliskim Wschodzie, którego arabskie centrum od 35 lat znajdowało się właśnie w Egipcie⁸⁵. Wyjątkową rolę i znaczenie Egiptu, obok strategicznego położenia przy Kanale Sueskim i na styku trzech kontynentów, należało również wiązać z jego postawą wobec Izraela, z którym Kair od kilku już dziesięcioleci utrzymywał stosunki dyplomatyczne. To pokojowe porozumienie z Izraelem „stanowiło czynnik stabilizacji i pokoju w świecie arabsko-izraelskim. Tak długo, dopóki ono istnieje, żadne państwo arabskie nie zdecyduje się na działania zbrojne wobec Izraela” – dowodzili amerykańscy eksperci⁸⁶. Warto jedynie dodać, że przez ostatnie 30 lat gwarantem takiej sytuacji, korzystnej dla amerykańskich i europejskich interesów w regionie, był rządzący autorytarnie Egiptem prezydent Mubarak. A więc Zachód – z zasady wspierający różne wolnościowe i niepodległościowe ruchy – tym razem nie miał prostego wyboru, gdyż rewolucja arabska wymierzona była w jego sojuszników.

Fakt, że generalnie Ameryka nie cieszyła się sympatią arabskiej ulicy, która właśnie demonstrowała w Tunezji, Egipcie, Jemenie czy Bahrajnie, tylko kom-

⁸⁴ Cyt. w: S. Hamid, *Egypt: The Prize*, w: *The Arab Awakening. America and the Transformation of the Middle East*, The Brookings Institution, Washington 2011, s. 109; zob. idem, *After Tunisia: Obama's Impossible Dilemma in Egypt*, January 25, 2011, www.brookings.edu/research/articles/2011/01/25-egypt-hamid.

⁸⁵ D. L. Byman, *Democracy in Egypt: What Are the Risks to the United States?*, February 25, 2011, www.brookings.edu/opinions/2011/0209_egypt_democracy_byman.aspx?p=1.

⁸⁶ M. S. Indyk, K. G. Lieberthal, M. E. O'Hanlon, *op. cit.*, s. 142.

plikował sytuację administracji amerykańskiej⁸⁷. Zresztą ta niechęć wobec amerykańskiego supermocarstwa miała swoje uzasadnienie, związane nie tylko z tradycyjną polityką Waszyngtonu wspierania lokalnych reżimów, ale przede wszystkim wynikające z przekonania o sprzyjaniu Izraelowi kosztem społeczności palestyńskiej. Niechęć arabskiej ulicy wobec niektórych państw europejskich, takich jak Wielka Brytania, Francja czy Włochy wynikała z ich kolonialnej przeszłości. Ale przede wszystkim było to pokłosie walki z terroryzmem, utożsamianej w potocznej świadomości świata arabskiego z wojną wymierzoną przez Zachód w islam.

Warto jednak w tym kontekście podkreślić, że prezydent George W. Bush, po obaleniu Saddama Husajna, próbował promować *freedom agenda* na Bliskim Wschodzie, szczególnie oczekiwania kierując wobec Mubaraka, aby ten poszerzył w kraju przestrzeń dla demokracji i wolności. To amerykańska sekretarz stanu Condoleezza Rice, występując na kairskim uniwersytecie w 2005 r., przyznawała: „Przez 60 lat Stany Zjednoczone forsowały w tym regionie spokój kosztem demokracji, w efekcie nie udało nam się niczego na Bliskim Wschodzie osiągnąć. Dlatego obawa przed wolnym wyborem nie może już dłużej uzasadniać braku wolności”⁸⁸. Jednak dynamika wydarzeń w konflikcie bliskowschodnim, wywołana między innymi zwycięstwem radykalnego Hamasu w wyborach na terenie Autonomii Palestyńskiej w 2006 r., spowodowała, że dewizą polityki Stanów Zjednoczonych wobec reżimów w regionie pozostała stabilność (*stability*) jako najbardziej pożądany stan rzeczy, zabezpieczający amerykańskie interesy⁸⁹.

Prezydent Obama, jakkolwiek nie odszedł zasadniczo od tendencji utrzymania stabilności w regionie, to jednak w swojej determinacji odcięcia się od polityki poprzednika, zdecydowanie odrzucał promowanie, zwłaszcza siłą, demokracji na Bliskim Wschodzie – w jego wizjonerskiej retoryce rzadko pojawiało się słowo demokracja. W słynnej, skierowanej do świata muzułmańskiego mowie Obamy, wygłoszonej w Kairze na początku czerwca 2009 r., pojawiło się natomiast zdanie: „żaden system rządów nie może, ani nie powinien być narzucany jednym narodom przez innych”⁹⁰. Także w Strategii Bezpieczeństwa Narodowego, dokumencie opublikowanym przez administrację Obamy w maju 2010 r., fragment o wspieraniu demokracji i praw człowieka za granicą znalazł się dopiero na 38 stronie liczącego 52 strony opracowania i to raczej w ujęciu, że najlepszą drogą promowania przez Amerykę wartości będzie ich przestrzeganie we własnym kraju. Zapowiadając zaś współpracę z autory-

⁸⁷ Należy przypomnieć, że w wielu krajach arabskich, także w Egipcie, poparcie dla Stanów Zjednoczonych było niższe w okresie prezydentury Obamy niż za czasów Busha, co należało tłumaczyć m.in. jako efekt rozczarowania polityką czarnoskórego prezydenta i zawiedzionych nadziei, rozbudzonych mową Obamy w Kairze.

⁸⁸ Secretary of State Condoleezza Rice, remarks, American University in Cairo, June 20, 2005, www.offnews.info/downloads/Document-458.pdf.

⁸⁹ K. M. Pollack, *Introduction: Understanding the Arab Awakening*, w: *The Arab Awakening...*, s. 7.

⁹⁰ White House, Office of the Press Secretary, *Remarks by the President on a New Beginning*, Cairo University, June 4, 2009; www.whitehouse.gov/the-press-office/remarks-president-cairo-university-6-04-09.

tarnymi reżimami na różnych polach (gospodarczym, walki z terroryzmem i w zakresie nieprolifracji) sugerowano, że Stany Zjednoczone są bardziej po ich stronie niż przeciwników dyktatorów⁹¹.

W tej zdominowanej różnymi czynnikami sytuacji nie dziwi fakt początkowo dość wstrzemięźliwej – zdaniem niektórych analityków – nawet zbyt opieszalej, reakcji Ameryki i Europy na wydarzenia w Afryce Północnej⁹². Można także zaryzykować stwierdzenie, że nie dość wcześnie i w odpowiednim stopniu uświadomiono sobie wagę i skalę rozpoczynającego się procesu. Błyskawiczny upadek reżimu Zina al-Abidina Ben Alego w Tunezji w połowie stycznia 2011 r. właściwie nie wywołał większego poruszenia w Białym Domu. Można było to tłumaczyć okolicznością, że obszaru Maghrebu – inaczej niż np. we Francji – nie traktowano w amerykańskiej strategii w jakiś wyjątkowy sposób. Dlatego amerykańska sekretarz stanu H. Clinton zapewniała, że USA w sprawie Tunezji „nie zajmują stanowiska”⁹³. Zaskakuje jednak inna wypowiedź szefowej amerykańskiej dyplomacji, która 25 stycznia 2011 r., czyli już po upadku Ben Alego i reagując na pierwsze protesty w Egipcie, zakończone ofiarami śmiertelnymi i setkami aresztowanych, stwierdziła z pełnym przekonaniem: „Nasza ocena jest taka, że rząd Egiptu jest stabilny i poszukuje sposobu, aby odpowiedzieć na słuszne potrzeby i racje społeczeństwa egipskiego”⁹⁴. Dopiero gdy kolejne dziesiątki i setki tysięcy Egipcjan wyszło na ulice Kairu, administracja Obamy bardziej doceniła rangę wydarzeń i skutki, jakie mogą one wywołać. Wypowiedzi jej przedstawicieli, podobnie jak samego prezydenta sprowadzały się głównie do apeli pod adresem reżimu Mubaraka o rozważne działanie, bez używania siły i represji wobec protestujących tłumów, a także uznanie słusznych racji i żądań społeczeństwa egipskiego. Równocześnie podkreślano wolę współpracy z prezydentem Mubarakiem „w wysiłkach budowania przyszłości, bardziej sprawiedliwej, wolnej i stwarzającej lepsze szanse rozwoju”⁹⁵.

Trudno odmówić racji takiej wyważonej, aczkolwiek niejednoznacznej taktyce administracji amerykańskiej, która krępowana skomplikowanymi uwarunkowaniami nie była w stanie działać wyraziście i zdecydowanie. Raczej starała się zachować bezpieczny dystans wobec wydarzeń, nie wykluczając możliwości zastosowania innej opcji, ale też nie zamykając sobie drogi do żadnej ze stron toczącego się z taką siłą sporu. W tej taktyce Ameryka nie odbiegała zbyt od formuły zastosowanej przez jej europejskich sojuszników. Główny problem polegał bowiem i na tym, że mgliście i niepewnie rysowała

⁹¹ White House, *National Security Strategy*, May 2010, www.whitehouse.gov/sites/default/files/rss_viewer/national_security_strategy.pdf.

⁹² Zob. S. Hamid, *How Obama Got Egypt Wrong*, January 28, 2011, www.brookings.edu/research/opinions/2011/01/28-egypt-obama-hamid.

⁹³ W latach 1989-2010 Stany Zjednoczone przekazały Tunezji wsparcie finansowe w wysokości 349 mld dol., głównie z przeznaczeniem na walkę z terroryzmem; cyt. w: S. Hamid, *Tunisia: Birthplace of the Revolution*, w: *The Arab Awakening...*, s. 115; także zob. M. S. Indyk, K. G. Lieberthal, M. E. O’Hanlon, *op. cit.*, s. 141, 144.

⁹⁴ Cyt. w: *Egypt’s Unstable Regime*, „The Washington Post” 25 I 2011.

⁹⁵ President Obama, opening remarks on the situation in Egypt, January 28, 2011, www.whitehouse.gov/the-press-office/2011/01/28/remarks-president-situation-egypt.

się przyszłość Egiptu po ewentualnym obaleniu reżimu Mubaraka. Zakładając nawet optymistycznie, że zwycięży kierunek ku demokracji, to – jak od początku rewolty w Egipcie przewidywano – najbardziej prawdopodobnym zwycięzcą w tym nowym, demokratycznym rozdaniu mogło być Bractwo Muzułmańskie, utożsamiane nie tylko z fundamentalizmem islamskim, ale wręcz z terroryzmem i dlatego od 1954 r. formalnie zakazane. Pojawiały się wprawdzie głosy, że Bractwo Muzułmańskie w ostatnich czasach odeszło od fundamentalistycznej ideologii i stało się siłą mniej radykalną⁹⁶. Mimo tego trudno było przesądzić o pozytywnym rozwoju wypadków w Egipcie, co potęgowało wątpliwości, nie tylko w Stanach Zjednoczonych, ale również w politycznych i eksperckich kręgach państw europejskich.

Arabska wiosna stała się też przedmiotem niezwykle ożywionej dyskusji toczonej po obu stronach oceanu. Wszak chodziło o region znajdujący się w strategicznym sąsiedztwie Zachodu oraz zasobny w surowce energetyczne. Pytano o kierunek przemian oraz ich skutki – pisano wręcz, że „rewolucja egipska to rodzaj trzęsienia ziemi. Wydarzenia, które wstrząsnęły Bliskim Wschodem, są na miarę rewolucji w Iranie”⁹⁷.

Pomimo różnych wątpliwości wyrażanych zarówno w analizach, jak i w opiniach polityków dominował pogląd, że należy poprzeć przeciwników reżimu Mubaraka. W Waszyngtonie stawiano sprawę jasno: „pomimo komplikacji, jakie demokratyczny Egipt może stanowić dla strategii amerykańskiej w regionie, to jednak jest to najlepsze, realistyczne wyjście dla polityki Stanów Zjednoczonych”⁹⁸. Stąd dość skuteczne, choć zbytnio nie eksponowane publicznie działania podjęte przez administrację Obamy, w tym ostrzeżenie skierowane do władz Egiptu o zmniejszeniu amerykańskiej pomocy wojskowej w razie niezaprzestania krwawego tłumienia rewolty i kontynuowania represji wobec protestujących Egipcjan, a także dyplomatyczne naciski wywierane na Mubaraka, aby zrezygnował z władzy. Trudno wykluczyć, że te właśnie gesty ze strony Waszyngtonu spowodowały opowiedzenie się egipskiej armii po stronie demonstrujących na Placu Tahrir, co w efekcie przyczyniło się do ustąpienia Mubaraka z urzędu 11 lutego 2011 r. i tymczasowego przejęcia władzy przez wojskowych. Tym samym przestał istnieć w odniesieniu do

⁹⁶ B. Riedel, *Don't Fear Egypt's Muslim Brotherhood*, January 29, 2011, www.brookings.edu/research/opinions/2011/01/28-egypt-riedel; podobnie sprawy widział O. Roy, francuski politolog, znawca islamu, który dowodził, że wydarzeń w świecie arabskim nie należy utożsamiać z fundamentalizmem islamskim. Na początku arabskiej wiosny pisał w „Le Monde”: „Inicjatorzy demonstracji to już zupełnie inne pokolenie, postfundamentalistyczne. (...) Inaczej niż ich poprzednicy (...) nie odwołują się do islamu. Przede wszystkim chcą się pozbyć skorumpowanych dyktatorów, żądają demokracji”. Zaś odnosząc się do Bractwa Muzułmańskiego dowodził, że „nie jest już ono orędownikiem alternatywnego modelu gospodarczego czy społecznego (...), a od kiedy wyrzekli się rewolucji islamskiej, są bardziej skłonni do współpracy z innymi siłami politycznymi”, przedruk: *Fundamentalisci z ludzką twarzą*, „Gazeta Wyborcza” 19-20 II 2011. Według informacji przekazanych deputowanym w Bundestagu oficerowie niemieccy służyli pomocą w sztabie

⁹⁷ K. M. Pollack, *Winds of Change in the Middle East*, February 27, 2011, www.brookings.edu/opinions/2011/0227_middle_east_pollack.aspx?p=1.

⁹⁸ D. L. Byman, *Democracy in Egypt: What Are the Risks to the United States?*, February 25, 2011, www.brookings.edu/research/opinions/2011/0209_egypt_democracy_byman.aspx?p=1; zob. także S. Hamid, *America's "Islamist Dilemma" and Egypt's Muslim Brotherhood*, February 9, 2011, www.brookings.edu/research/opinions/2011/0202_egypt_us_hamid.aspx?p=1.

Egiptu główny dylemat amerykańskiej i europejskiej polityki w regionie: jak pogodzić deklarowane przez Zachód przywiązanie do wartości demokratycznych i wolnościowych z dobrymi relacjami z autorytarnymi reżimami⁹⁹.

Pozostał jednak nierozstrzygnięty problem, czy nowe władze, nawet wybrane w drodze demokratycznych procedur, opowiedzą się po stronie Zachodu i pozwolą, aby Egipt był nadal filarem jego strategii w regionie. Czy będą zdolne zapomnieć o wcześniejszym sojuszu Stanów Zjednoczonych z dyktatorem i uwierzyć teraz w uczciwe intencje Waszyngtonu, gotowego wesprzeć przemiany w Egipcie? Czy kolonialna przeszłość państw europejskich nie zaważy na ich przyszłych relacjach z tą częścią świata? Wreszcie, czy amerykańska i europejska pomoc będzie oczekiwana i pożądana oraz jak powinna ona wyglądać?

Tym większe znaczenie mogły mieć konkretne gesty ze strony Stanów Zjednoczonych i Europy. Sugerowało je wielu analityków i ekspertów, uczestniczących w nadal dynamicznie rozwijającym się dyskursie intelektualnym i politycznym. Dominowały głosy postulujące udzielenie przez Zachód zdecydowanej pomocy finansowej i odegranie kluczowej roli w procesie demokratycznej transformacji państw regionu. Dowodzone, że wspierając przemiany w świecie arabskim zyska się wiarygodność i sympatię. Zgadzano się, że teraz przed Zachodem otwiera się możliwość przezwyciężenia błędów z przeszłości i dokonania rzeczywistego „nowego otwarcia” w stosunkach ze światem islamu¹⁰⁰. Należało też uwzględnić fakt, że wprawdzie Stany Zjednoczone nie były najlepiej oceniane w świecie arabskim, jednak w najbliższej perspektywie trudno było dostrzec gracza gotowego przejąć w tym regionie rolę, pełnioną dotąd w tak dużym wymiarze przez Amerykę. Wprawdzie trzeba było pamiętać o rosnącej potędze gospodarczej Chin i ich możliwościach inwestycyjnych, tym bardziej jednak – zdaniem wielu analityków – należało to traktować jako wyzwanie do działania¹⁰¹. W przypadku Europy i jej unijnych struktur otwierały się nowe możliwości zaprezentowania swej rzeczywistej siły i potencjału pomocowego.

Główne zadanie, jakie spadło na cały układ transatlantycki, polegało więc na udzieleniu państwom arabskim, które weszły na drogę transformacji, skutecznej pomocy gospodarczej. Zadeklarował ją prezydent Obama już 19 maja 2011 r. w kolejnym przemówieniu skierowanym do świata arabskiego. Zapowiedział umorzenie części egipskich długów (1 mld z 3,5 mld dol.), udzielenie kredytów w wysokości 1 mld dol., przy równoczesnym utrzymaniu dotychczasowej pomocy o łącznej sumie 1,5 mld dol. rocznie¹⁰².

W przypadku kolejnego konfliktu, który wstrząsnął Afryką Północną, trudno stwierdzić, czy udział Stanów Zjednoczonych i ich europejskich sojuszników wpłynął na ich pozycję w świecie arabskim, a przede wszystkim, czy

⁹⁹K. M. Pollack, *Introduction: Understanding the Arab Awakening*, w: *The Arab Awakening...*, s. 8.

¹⁰⁰K. M. Pollack, *Winds of Change in the Middle East...*

¹⁰¹B. Jones, *The West, the Rest, and the New Middle East: Obama in London, May 27, 2011*, www.brookings.edu/opinions/2011/0527_global_order_jones.aspx?p=1.

¹⁰²Cyt. w: M. Zawadzki, *Obama mówi Arabom: jesteśmy z wami*, „Gazeta Wyborcza” 20 V 2011.

umocnił wspólnotę interesów i działań układu transatlantyckiego. Następnym krajem, który ogarnęło rewolucyjne wrzenie, była Libia. Niemal nazajutrz po obaleniu Mubaraka, w połowie lutego 2011 r. na ulice libijskich miast wyszli demonstranci, protestujący przeciwko reżimowi Muammara Kaddafiego. Wojsko i siły bezpieczeństwa próbowały stłumić protesty. Rosła liczba zabitych i rannych. Kraj ogarnęła krwawa wojna domowa. Mimo że już pod koniec lutego 2011 r. pułkownik Kaddafi stracił kontrolę nad znaczną częścią wschodniej Libii, zasobnej w złoża ropy naftowej, nie zamierzał oddać władzy, ani pójść na ustępstwa wobec przeciwników. Była to sytuacja inna niż w Tunezji, czy nawet Egipcie, gdzie protesty społeczne stosunkowo szybko doprowadziły do upadku reżimów. W Libii reżim Kaddafiego bronił się brutalnie i krwawo przez blisko pół roku.

Tymczasem Stany Zjednoczone, podobnie jak było w przypadku Tunezji i Egiptu, początkowo zachowywały dystans wobec toczących się wydarzeń. Warto przypomnieć, że w czasach G. W. Busha doszło do normalizacji stosunków amerykańsko-libijskich poprzedzonej długim okresem wzajemnej wrogości, u której podłoża legło poparcie Trypolisu dla działań terrorystycznych w świecie. Dopiero uznanie przez płk. Kaddafiego, że Al-Kaida zagraża również jego interesom, spowodowało zmianę frontu i polepszenie relacji Libii ze światem Zachodu. Libijski przywódca poparł inwazję na Afganistan i zadeklarował pomoc wywiadu, a następnie zrezygnował z planów budowy broni masowego rażenia¹⁰³. W 2006 r. Stany Zjednoczone otworzyły ambasadę w Trypolisie, a dwa lata później sekretarz stanu C. Rice złożyła w Libii oficjalną wizytę. Libia nie zajęła jednak jakiegoś szczególnego miejsca w polityce amerykańskiej. Także w sensie gospodarczym nie można było mówić o ważnej roli tego państwa – amerykańskie firmy nie były specjalnie zainteresowane inwestycjami w Libii. Z tego punktu widzenia znacznie lepiej prosperowali tutaj Europejczycy – mniejsza odległość geograficzna oraz zainteresowanie dostawami libijskiej ropy i gazu powodowały większe zaangażowanie koncernów europejskich. Ale zarówno Europa, jak i Stany Zjednoczone podobnie oceniały Kaddafiego – uważano go za prowincjonalnego satrapę, o dziwacznych i maniackalnych skłonnościach. Później doszła też dość powszechna obawa o załamanie światowego rynku paliw w efekcie rewolty w Libii.

Jeśli więc na początku administracja Obamy wykazywała zainteresowanie pogarszającą się sytuacją w Libii, gdzie wojna domowa coraz bardziej eskalowała, to głównie z tego powodu, że znajdowało się tam ponad 600 obywateli amerykańskich. Dopiero gdy ostatni Amerykanie opuścili Libię, prezydent Obama – w odpowiedzi na brutalne akcje reżimu Kaddafiego – przystąpił do bardziej zdecydowanego działania. Przede wszystkim wprowadził sankcje gospodarcze wobec Libii – zamrożono warte 32 mld dol. aktywa libijskie zdeponowane w bankach amerykańskich, a następnie do podjęcia podobnych działań Obama przekonał inne państwa. Równocześnie zdecydowano się

¹⁰³ Jeszcze wcześniej, bo po pierwszej wojnie w Zatoce Perskiej, Kaddafi zdecydował się wydać Zachodowi terrorystów odpowiedzialnych za zamach na samolot amerykańskich linii lotniczych, który w 1988 r. eksplodował nad Lockerbie oraz wypłacić rodzinom ofiar odszkodowanie.

działać w szerokim froncie międzynarodowym. Już 26 lutego 2011 r. na forum ONZ władze amerykańskie domagały się nałożenia na Libię embarga na handel bronią. Kilka dni później, 3 marca 2011 r. prezydent Obama ogłosił, że Kaddafi „stracił prawo do rządzenia i musi opuścić urząd”¹⁰⁴. Wówczas też w Białym Domu rozważano możliwość ustanowienia nad Libią strefy zakazu lotów, co miało uchronić ludność cywilną przed atakami lotnictwa wiernego Kaddafiemu. Co ciekawe, przeciwnikiem wprowadzenia *no-fly zone* był Pentagon, którego szef R. Gates uważał, że włączenie się Ameryki w ochronę takiej strefy groziłoby wplataniem jej w kolejny – po Iraku i Afganistanie – konflikt w kraju muzułmańskim¹⁰⁵. Mniej sceptyczna była natomiast sekretarz stanu H. Clinton i przewodniczący senackiej komisji spraw zagranicznych John Kerry, zdecydowanie za taką formą ochrony ludności cywilnej opowiadał się wiceprezydent J. R. Biden¹⁰⁶.

Gdy w Waszyngtonie zastanawiano się nad przyjęciem opcji militarnej i ociągano się z decyzjami, Europa działała w sposób bardziej zdeterminowany, co wydaje się sytuacją niemal bez precedensu. Dotychczas, w odniesieniu do wielu innych konfliktów i kryzysów, to raczej Ameryka dążyła do zastosowania skutecznych militarnych rozwiązań, podczas gdy partnerzy europejscy opowiadali się za mniej stanowczymi środkami. Tymczasem niektóre państwa europejskie znalazły się na pierwszej linii walki o zastosowanie radykalnych metod wobec reżimu Kaddafiego. Wśród nich pierwszorzędą rolę odgrywała Francja, a także Wielka Brytania. Wspierane przez Ligę Arabską, która tradycyjnie z niechęcią traktowała Kaddafiego i teraz jej członkowie domagali się wręcz interwencji militarnej, państwa te przedstawiły w połowie marca 2011 r. na forum Rady Bezpieczeństwa projekt przewidujący zakaz lotów nad Libią oraz podjęcie wszelkich niezbędnych środków w celu ochrony cywilów, atakowanych przez siły wierne Kaddafiemu.

Pomimo zastrzeżeń zgłaszanych przez niektórych członków swojej administracji prezydent Obama zdecydował się poprzeć wysiłki Francji i Wielkiej Brytanii. Zresztą wydaje się, że Biały Dom nie miał wyjścia – nie chcąc ponownie narazić się na zarzuty, skądinąd uzasadnione, że nie tylko przestaje pełnić rolę lidera na arenie międzynarodowej, ale wręcz oddaje pole w tak ważnym regionie świata, musiał włączyć się do akcji. Warto też podkreślić, że propozycja ta, choć wychodziła daleko poza ustanowienie *no-fly zone*, nie została zawetowana przez zwykle działające w ten sposób Rosję i Chiny. Tym razem przedstawiciele tych państw, obok Brazylii, Indii i Niemiec (sic!), jedynie wstrzymali się od głosu. W efekcie już 17 marca 2011 r. Rada Bezpieczeństwa przyjęła rezolucję nr 1973 w szerokiej formule, zaproponowanej przez Paryż i Londyn.

¹⁰⁴ President Obama and President Calderon of Mexico, remarks, joint Press conference, March 3, 2011, whitehouse.gov/the-press-office/2011/03/03/remarks-president-obama-and-president-calder-n-mexico-joint-press-conference.

¹⁰⁵ Defense Secretary Robert Gates, speech, West Point, February 25, 2011, www.defense.gov/speeches/speech.aspx?speechid=1539.

¹⁰⁶ M. S. Indyk, K. G. Lieberthal, M. E. O’Hanlon, *op. cit.*, s. 161-162.

Nie ulega wątpliwości, że to nie Stany Zjednoczone były inicjatorem podjętych działań, raczej się do nich – po chwili wahania – przyłączyły. To francuski prezydent Nicolas Sarkozy i szef brytyjskiego rządu David Cameron, niejako debiutujący w roli światowego przywódcy, narzucili tempo i charakter akcji. W przypadku prezydenta Francji chodziło przede wszystkim o zyskanie punktów w zbliżającej się walce o reelekcję, zaś premier Wielkiej Brytanii, demonstrując swoją troskę o losy ludności cywilnej, pragnął odegrać ważną rolę na arenie międzynarodowej. Dla obu przywódców była to okazja do przypomnienia o mocarstwowej pozycji ich krajów i zarazem odwrócenia uwagi od różnych wewnętrznych problemów.

Należy jednak podkreślić, że postawa Paryża i Londynu nie zyskała powszechnego poparcia wśród państw europejskich. Przeciwno jakiegokolwiek akcji zbrojnej, a z taką należało się liczyć, ustanawiając strefę zakazu lotów i ochronę cywilów, opowiedziały się Niemcy, Hiszpania, Włochy i Portugalia. W ofensywie prowadzonej w sprawie Libii zabrakło też głosu europejskiej dyplomacji, kierowanej przez Catherine Ashton – Wysokiego Przedstawiciela ds. Wspólnej Polityki Zagranicznej i Bezpieczeństwa UE. A przecież wydawało się, że traktat lizboński wyposaży Unię Europejską w narzędzia, które będzie można wykorzystać w takich przypadkach jak Libia, a wcześniej Egipt czy Tunezja, aby zintegrować państwa członkowskie wokół ważnego zadania z zakresu polityki zagranicznej. Tymczasem przygotowując interwencję w Libii, sekretarz stanu H. Clinton kontaktowała się przede wszystkim z szefami dyplomacji francuskiej i brytyjskiej, a nie z lady Ashton¹⁰⁷. Zresztą w sprawie Libii bardziej zdeterminowany okazał się Parlament Europejski, lepiej może niż rządy wyrażający poglądy opinii publicznej, który wzywał wspólnotę międzynarodową do interwencji w obronie atakowanych przez siły Kadhafiego cywilów¹⁰⁸.

To zróżnicowane stanowisko rządów państw europejskich ujawniło się z całą ostrością wówczas, gdy trzeba było wziąć na siebie ciężar wykonania rezolucji Rady Bezpieczeństwa, czyli *de facto* interwencji militarnej NATO w Libii, ponieważ tylko Sojusz miał środki i siły, które mogły być wykorzystane. Warto zauważyć, że szczególnie zainteresowany, by operację przeprowadzić w ramach NATO, był prezydent Francji. Gwarantowało to – w jego przekonaniu – powszechny w niej udział państw członkowskich Sojuszu. Jednak wśród państw, które odmówiły udziału w rozpoczętej 19 marca 2011 r. operacji wojskowej, nazwanej najpierw „Świt Odysei” (*Odyssey Dawn*), a następnie „Zjednoczony Obrońca” (*Unified Protector*), znalazła się – obok m.in. Niemiec, Holandii i Turcji – także Polska, co było kolejnym już precedensem.

¹⁰⁷ Przyznawał to w rozmowie z polskim dziennikarzem prof. Andrew A. Michta, amerykański ekspert ds. bezpieczeństwa i współpracy transatlantyckiej, od lata 2011 r. szef warszawskiego oddziału *German Marshall Fund*: „Odpowiedzmy sobie na pytanie: kto ma więcej do powiedzenia, szefowa dyplomacji UE czy np. szef francuskiego MSZ? Pozycja instytucji europejskich zależy od tego, jaka siła za nimi stoi. [...] Gdy trzeba podejmować trudne decyzje, dzwoniemy do tych, którzy są w stanie to zrobić, czyli do szefów poszczególnych państw”, *Ameryka czeka na Europę*, „Gazeta Wyborcza” 28 III 2011.

¹⁰⁸ Zob. szerzej: R. H. Santini, *The Libyan Crisis Seen from European Capitals*, June 01, 2011, www.brookings.edu/papers/2011/0601_libya_santini.aspx?p=1.

W dotychczasowej, stosunkowo krótkiej historii naszego członkostwa w NATO należeliśmy do państw, które lojalnie i solidarnie uczestniczyły w operacjach zbrojnych, prowadzonych nie tylko zresztą pod flagą Sojuszu, ale także poza NATO, u boku Ameryki, jak np. w Iraku. Tym razem – choć operacja w Libii dysponowała zdecydowanie mocniejszym mandatem prawnym niż inwazja na Irak – Warszawa wyłamała się z tego frontu, uzasadniając swoje stanowisko brakiem żywotnych interesów w świecie arabskim oraz już wystarczająco dużym wysiłkiem militarnym i finansowym, ponoszonym w Afganistanie.

Ten brak solidarności wśród państw europejskich nie zmienił faktu, że w podjętej przez NATO operacji zbrojnej w Libii to nie Stany Zjednoczone odgrywały rolę pierwszoplanową, raczej starały się trzymać w cieniu lub – jak twierdziło wielu komentatorów – „kierować z tylnego siedzenia” (*leading from behind*)¹⁰⁹. Wprawdzie przez pierwsze dni przewożenie akcją zbrojną należało do Amerykanów, ale już pod koniec marca 2011 r. dowództwo przejęło NATO, a Stany Zjednoczone były zaledwie członkiem tej koalicji. Nie one podejmowały strategiczne decyzje i kierowały operacją. Stało się tak po raz pierwszy w 62-letniej historii Sojuszu Północnoatlantyckiego. Mieliśmy więc do czynienia z kolejnym precedensem. Cel takiego działania był jasny: administracja Obamy pragnęła uniknąć zarzutu, że inicjuje lub uczestniczy w kolejnej wojnie na terytorium państwa muzułmańskiego. Dlatego argumentowano, że nie jest to wojna, a tylko operacja pomocy powstańcom i ludności cywilnej w Libii. Poparciem tej tezy miał służyć fakt, że Biały Dom nie wystąpił do Kongresu o zgodę na wysłanie wojsk, co było konieczne w przypadku udziału w wojnie¹¹⁰. Chodziło też o ograniczenie do niezbędnego minimum kosztów finansowych operacji *Unified Protector*, przerzucenie tych ciężarów na europejskich sojuszników. Amerykanom bowiem byłoby trudno zrozumieć, dlaczego w sytuacji kryzysu, gdy kraj boryka się z ogromnymi problemami gospodarczymi – dług publiczny, wynoszący wówczas 14,3 bln dol., niemal osiągnął limit – to Stany Zjednoczone muszą znowu ponosić koszty finansowe konfliktu, z pozoru nie mającego związku z amerykańskimi żywotnymi interesami.

Sytuacja, w której państwa europejskie, w tym Francja, zdecydowały się podjąć działania zbrojne, a nawet je zainicjowały, wydawała się być znacząca dla relacji transatlantyckich. Nawet jeśli uwzględnimy głównie wyborcze motywacje myślącego o kolejnej kadencji w Pałacu Elizejskim prezydenta Sarkozy'ego, pozostaje faktem determinacja Francji i jej wola, aby działać z wykorzystaniem opcji siłowej. Nie tylko podważało to słynną tezę R. Kagana o „Europie z Wenus, a Ameryce z Marsa”, ale przede wszystkim pozwalało mieć nadzieję, że Stany Zjednoczone, kontrolując sytuację na świecie, będą mogły liczyć na wsparcie ze strony sojuszników europejskich. Współdziałanie

¹⁰⁹ Zob. M. S. Indyk, K. G. Lieberthal, M. E. O'Hanlon, *op. cit.*, s. 158.

¹¹⁰ Zgodnie z amerykańską konstytucją Kongres decyduje o wojnie i pokoju. Ustawa z 1973 r., przyjęta pod wpływem doświadczeń z eskalacją wojny wietnamskiej, zezwala prezydentowi w nagłych wypadkach posłać żołnierzy do walki, ale musi on w ciągu 60 dni uzyskać zgodę na Kapitolu. Jeśli tak się nie stanie, musi wycofać żołnierzy z terenu walk w ciągu kolejnych 30 dni; zob. szerzej: R. M. Chesney, *A Timer on the Libya/War Powers Resolution Compliance Debate*, June 17, 2011, www.brookings.edu/opinions/2011/0617_war_powers_chesney.aspx?p=1.

Europy w wypełnianiu tej misji wydawało się czynnikiem wzmacniającym układ transatlantycki. Było to w pewnym stopniu spełnienie oczekiwań Waszyngtonu, że nastąpi dzielenie ciężarów światowego przywództwa z sojusznikami europejskimi. Tym bardziej że Ameryka czasu Obamy z coraz mniejszym entuzjazmem była gotowa wypełniać zadania „światowego żandarma”. Rozwijając myśl o współdziałaniu Europy, wręcz twierdzono, że operację w Libii należy traktować jako ważny test dla Starego Świata. „Jeśli sojusznicy europejscy zrealizowaliby główny cel – ochronę libijskich cywilów, wtedy wysłałby jasny sygnał, że pozostają wartościowym i skutecznym w zakresie bezpieczeństwa partnerem dla Stanów Zjednoczonych. Jeśli nie, to przyczyniliby się do marginalizacji Europy w polityce amerykańskiej” – przyznawano w europejskich dyskusjach¹¹¹.

Tymczasem towarzyszące operacji *Unified Protector* fakty zrazu nie napawały optymizmem. Nie chodziło tylko o brak wyraźnych postępów w prowadzonych działaniach zbrojnych oraz upór Kaddafiego, który nie zamierzał ustąpić i był w tym postanowieniu niezwykle zdeterminowany, ale o to, że w odniesieniu do układu transatlantyckiego nastąpił powrót do sytuacji znanej dobrze z przeszłości. Państwa europejskie, uczestniczące w operacji libijskiej, stosunkowo szybko odczuły słabość swego potencjału wojskowego i w efekcie Stany Zjednoczone już po kilku tygodniach (cała operacja trwała ponad 7 miesięcy) musiały przejąć główny ciężar interwencji zbrojnej. To amerykańskie jednostki wykonały większość lotów nad Libią, Amerykanie zapewniali łączność i tankowanie w powietrzu, dominującą część ataków za pomocą lotnictwa i rakiet przeprowadziły amerykańskie siły zbrojne (pociski amerykańskie stanowiły ponad 90 proc. wystrzelonych nad Libią rakiet), Amerykanie dostarczyli siłom koalicji 66 proc. personelu. Wszystko to kosztowało amerykańskiego podatnika znacznie ponad 1 mld dol.

Niezdolność państw europejskich do uniesienia ciężaru interwencji w Libii i konieczność odwołania się w ogromnym stopniu do amerykańskich zasobów militarnych potwierdzały tezę głoszoną od dawna przez Waszyngton, że Europa daleko odstaje od amerykańskich standardów obronnych. Nawet Francję i Wielką Brytanię dzielił dystans w stosunku do potencjału amerykańskiego (Francuzi i Brytyjczycy już po 11 tygodniach akcji zbrojnej w Libii musieli oszczędzać amunicję, a półroczna wojna zredukowała ich budżety wojskowe na najbliższych kilka lat). Było to efektem trwającego od wielu lat procesu zmniejszania przez Europejczyków nakładów budżetowych na obronność (przez 2 lata nakłady te spadły w państwach UE o 45 mld dol.; w ciągu dekady po 11 września 2001 r. spadek ten wyniósł 15 proc., tymczasem w USA wydatki na zbrojenia wzrosły dwukrotnie; z kolei 20 lat po upadku muru berlińskiego udział USA w wydatkach militarnych NATO wzrósł z 50 proc. w okresie zimnej wojny do 75 proc.)¹¹². Konsekwencje takiej polityki

¹¹¹ N. Bensahef, *Libya: a make-or-break moment for NATO*, March 25, 2011, www.guardian.co.uk/commentisfree/cifamerica/2011/mar/25/nato-libya/print.

¹¹² Cyt. w: A. Lubowski, *Żółta kartka dla NATO*, „Gazeta Wyborcza” 18-19 VI 2011.

państw europejskich były z perspektywy amerykańskiej aż nazbyt widoczne i groźne dla zdolności militarnych układu transatlantyckiego.

Miał więc wiele racji amerykański sekretarz stanu R. Gates, gdy w czerwcu 2011 r., podczas spotkania szefów resortów obrony państw członkowskich NATO w Brukseli zarzucił europejskim sojusznikom brak woli wnoszenia większego wkładu w obronność i bezpieczeństwo. Uznał, że Europa nadal pozostaje w roli aktywnego kibica, cieszącego się równocześnie pełnymi gwarancjami bezpieczeństwa. Jakkolwiek te krytyczne uwagi padały w momencie, gdy trwała zainicjowana przez Paryż i Londyn oraz prowadzona z udziałem kilku państw europejskich operacja w Libii, z pozoru zaprzeczająca twierdzeniom szefa Pentagonu, to jednak trudno było nie zgodzić się z istotą jego zarzutów – Europa słabnie pod względem potencjału militarnego i nie podejmuje wyzwań w zakresie bezpieczeństwa na miarę swych możliwości oraz amerykańskich oczekiwań. W efekcie „całkiem realna jest perspektywa ponurej, a nawet fatalnej przyszłości sojuszu transatlantyckiego” – dowodził amerykański sekretarz obrony, żegnając się w ten sposób z europejskimi sojusznikami tuż przed swoim odejściem na emeryturę¹¹³.

W podobnym duchu utrzymana była wypowiedź sekretarza generalnego NATO, który odnosząc się do słów Gatesa, przyznawał: „Europejscy sojusznicy ponoszą tylko 20 proc. wydatków obronnych NATO. Jeśli to się nie poprawi, to pociągnie za sobą przykre konsekwencje”. Jego zdaniem Europa straci zdolność uczestnictwa w międzynarodowych operacjach kryzysowych, bo nie będzie dysponować odpowiednim potencjałem zbrojnym, a to doprowadzi „do spadku znaczenia Europy na scenie międzynarodowej”. A. F. Rasmussen przypominał, że już teraz amerykański podatnik pyta, dlaczego to USA mają zawsze ponosić lwią część ciężarów związanych z obronnością. „Dlaczego Stany Zjednoczone mają tak bardzo inwestować w wojsko, podczas gdy Europejczycy uważają to za kwestię wolnego wyboru, a w razie czego szukają pomocy w Ameryce?”¹¹⁴.

Te przykre konkluzje, a także cały przebieg operacji libijskiej, w której kolejny raz Ameryka okazała się niezastąpiona, a Europa niezdolna do udźwignięcia własnymi siłami ciężaru długotrwałej operacji militarnej, z pozoru podważały tezę, głoszoną początkowo przez wielu analityków, że interwencja w Libii może wzmocnić układ transatlantycki. Tym bardziej że przedłużająca się operacja *Unified Protector* i coraz bardziej dotkliwe nadwerężenie zasobów państw

¹¹³ Cyt. w Th. Shanker, *Defense Secretary Warns NATO of „Dim” Future*, „The New York Times” 10 VI 2011. Warto w tym miejscu dodać, że oświadczenie Gatesa sprowokowało wówczas amerykańskich obserwatorów do podobnych w tonie wypowiedzi. Na łamach „New York Timesa” (11 VI 2011) ukazał się komentarz redakcyjny do wypowiedzi Gatesa, w którym czytamy: „Jeśli jego przestrogi nie wystarczą, Europę powinny szokować efekty jej akcji w Libii”. Tym bardziej że – jak dowodzą – misja w Libii dotyczy bardziej bezpieczeństwa Europy niż Stanów Zjednoczonych. „To powinno przestraszyć każdego ministra obrony w Europie. Co by się działo, gdyby przyszło im walczyć z bardziej wymagającym przeciwnikiem niż popękana dyktatura płk. Muammara Kaddafiego?” – pytał „New York Times”. Jeszcze ostrzej na łamach „Washington Post” (17 VI 2011) wypowiadał się znany dziennikarz George F. Will, laureat Nagrody Pulitzera, który nazwał NATO „potiomkinowskim sojuszem” i proponował: „kiedy niefortunna libijska przygoda NATO się skończy, Ameryka powinna się zastanowić, czy nie należy także skończyć z NATO”.

¹¹⁴ Wywiad pt. *Szef NATO dla „Gazety”: Europa może przestać się liczyć*, „Gazeta Wyborcza” 29 VI 2011.

w niej uczestniczących osłabiały wolę Europy kontynuowania zainicjowanej przez siebie misji. Takie symptomy dostrzegalne były nawet w Wielkiej Brytanii. Nie służyło to dobrze wiarygodności europejskiego filara NATO. Negatywny wpływ na układ transatlantycki musiał też mieć fakt, że spośród 28 państw członkowskich Sojuszu, w zbrojnej operacji na terytorium Libii uczestniczyło zaledwie osiem krajów (nieco więcej brało udział w kontrolowaniu libijskiej przestrzeni powietrznej). To również stało się przedmiotem ostrej krytyki ze strony sekretarza obrony Gatesa w Brukseli, wymierzonej zwłaszcza w Niemcy i Polskę, ale też w państwa uczestniczące w operacji¹¹⁵.

Chociaż pretensje kierowane pod adresem Polski można uznać za wysoce niesprawiedliwe, biorąc pod uwagę dotychczasową lojalność Warszawy wobec Waszyngtonu, narażającą ją swego czasu nawet na rodzaj ostracyzmu ze strony niektórych partnerów europejskich, to jednak brak solidarności sojuszniczej, do której i Polska się przyczyniła, był faktem niepodważalnym. Zaś w przypadku Niemiec – zdaniem wielu komentatorów – chodziło o coś więcej. Oprócz tego, że Berlin odmówił kategorycznie udziału w operacji *Unified Protector*, co znacząco osłabiało potencjał militarny, którym dysponował w Libii europejski członek Sojuszu, to jeszcze RFN znalazła się wraz z Rosją i Chinami w grupie państw, które podczas głosowania 17 marca 2011 r. w Radzie Bezpieczeństwa nad rezolucją nr 1973 wstrzymały się od głosu. Postawa Niemiec została krytycznie oceniona przez stronę amerykańską. Nicolas Burns, były ambasador USA przy NATO, a następnie podsekretarz stanu w administracji G. W. Busha, mówił bez ogródek: „Fakt, że Niemcy, największy europejski członek sojuszu, państwo odgrywające w nim kluczową rolę i to w różnym wymiarze, nie poparło misji NATO, może mieć – tak myślę – rozstrzygające znaczenie dla jej powodzenia”. Działanie Niemiec było – zdaniem Burnsa – tym bardziej niezrozumiałe, że operacja Sojuszu miała poparcie świata arabskiego oraz mandat ONZ¹¹⁶. „Wstyd, że Niemcy nie uznali tego za argument na rzecz wsparcia [misji]” – dodawał amerykański dyplomata¹¹⁷.

Z drugiej strony, nie można zaprzeczyć, że operacji libijskiej towarzyszyły okoliczności, które pozwalały wysnuć także pewne pozytywne konkluzje. Bo choć ujawniła ona po raz kolejny ogromny dystans dzielący USA i Europę w zakresie potencjału militarnego, a także pokazała brak jedności i pełnego poczucia solidarności wśród europejskich członków Sojuszu, to jednak zakończyła się sukcesem. Konsekwentne wsparcie NATO pozwoliło libijskim powstańcom przetrwać blisko pół roku mimo ataków sił wiernych Kaddafiemu, a następnie przyczyniło się do klęski i upadku dyktatora pod koniec sierpnia 2011 r. oraz

¹¹⁵ Zob. S. Fidler, J. Barnes, *Gates Calls Others to Join Libya Fight*, „The Wall Street Journal” 9 VI 2011.

¹¹⁶ Poparcie świata arabskiego dla interwencji zbrojnej w Libii nie było powszechne. Część państw uważała akcję koalicji za zbyt radykalną, wychodzącą poza rezolucję ONZ, sprzeciwiano się zwłaszcza bombardowaniom, których ofiarami padali cywile. Natomiast zdecydowanego poparcia operacji udzieliły władze Kataru i Zjednoczonych Emiratów Arabskich.

¹¹⁷ Wywiad N. Burnsa dla *Deutsche Welle* pt. *Berlin's stance on Libya has isolated Germany in NATO*, 13 IV 2011, www.dw-world.de/popups/popup_printcontent/0,,14985036,00.html; zob. też J. Dempsey, *Germany Would Join Aid Mission to Libya*, „The New York Times” 8 IV 2011.

przejęcia władzy nad całym terytorium kraju przez powstańczą Narodową Radę Libijską (NRL). Już to umacniało rangę NATO jako czołowej i najbardziej skutecznej w świecie struktury polityczno-wojskowej. Przywrócenie wiary w siłę i skuteczność NATO miało ogromne znaczenie po niepowodzeniach Sojuszu w Afganistanie. Nie dziwi więc zadowolenie w dowództwie Paktu Północnoatlantyckiego, jakie towarzyszyło oficjalnemu zakończeniu operacji *Unified Protector* 31 października 2011 r. „Robiliśmy wszystko, by was chronić. Razem odnieśliśmy sukces. Libia wreszcie jest wolna” – mówił wówczas A. F. Rasmussen, zwracając się do Mustafy Adela Dżalila, szefa NRL.

Satysfakcja szefa NATO była tym większa, że operacja „Zjednoczony Obrońca” stanowiła, zwłaszcza w zakresie zarządzania kryzysowego, pierwszy test nowej Koncepcji strategicznej NATO, przyjętej kilka miesięcy wcześniej na szczycie w Lizbonie. W dokumencie tym podkreślano, że możliwe jest działanie Sojuszu *out of area*, gdyż „kryzysy i konflikty poza granicami NATO mogą stanowić bezpośrednie zagrożenie dla bezpieczeństwa obszaru i ludności państw NATO”. Jasno też artykułowano, że Sojusz „zamierza się angażować, kiedy będzie to możliwe i konieczne, aby zapobiegać kryzysom, opanować je, stabilizować sytuację oraz wspierać proces odbudowy”¹¹⁸. Zdaniem wielu analityków właśnie w Libii udało się Sojuszowi pozytywnie zweryfikować nową Strategię¹¹⁹. Uważano nawet, że misja libijska może się stać ważnym modelowym rozwiązaniem dla przyszłych operacji NATO¹²⁰. Wobec zarysowujących się nowych uwarunkowań amerykańskiej polityki zagranicznej i bezpieczeństwa bardzo prawdopodobne stawały się sytuacje, gdy bądź inicjatywa podjęcia zbrojnej operacji będzie należała do sojuszników europejskich, bądź Ameryka nie będzie odgrywać roli pierwszoplanowej, zakładając równocześnie, że długo jeszcze udział Stanów Zjednoczonych w interwencjach NATO będzie tak czy inaczej niezbywalny. Interwencja w Libii pokazała, że takie rozwiązania w ramach wspólnoty transatlantyckiej są możliwe i mogą zakończyć się sukcesem. W tym więc sensie operacja *Unified Protector* stanowiła pierwszy przykład nowej fazy w stosunkach transatlantyckich¹²¹.

Istniał jeszcze jeden aspekt sprawy, odnoszący się zresztą do całego ogarniętego rewoltą regionu. Trudno się oprzeć wrażeniu, że początkowo ani Stany Zjednoczone, ani ich europejscy sojusznicy nie sprostali trudnej sytuacji w Północnej Afryce. Uderzało nie tylko „zagubienie” wielu rządów i polityków Zachodu wobec tego, co działo się w Tunezji i Egipcie, a także w niektórych państwach Bliskiego Wschodu. Dopiero po wspólnym dla układu transatlantyckiego doświadczeniu libijskim, wspólnej – choć nie obejmującej wszystkich państw NATO – operacji zbrojnej pojawiła się realna perspektywa stworzenia nowej, niezwykle ważnej płaszczyzny współpracy Ameryki i Europy.

¹¹⁸ „Strategic Concept for the Defense and Security...”.

¹¹⁹ P. Paćuła, „*Unified Protector*” w Libii: wyzwania dla zarządzania kryzysowego, „Bezpieczeństwo Narodowe” II – 2011/18, s. 69-78.

¹²⁰ K.-H. Kamp, *The Transatlantic Link after Chicago*, „NDC Research Report” Research Division NATO Defense College.

¹²¹ Zob. szerzej: K. Malinowski, *Sojusz Atlantycki (2010-2012)*... s. 165.

Przyszłość państw arabskich, zwłaszcza tych, które właśnie weszły na drogę transformacji, zależała w dużej mierze od zewnętrznego wsparcia politycznego i skutecznej pomocy gospodarczej. To otwierało nowe możliwości współdziałania Stanów Zjednoczonych z Unią Europejską w akcji pomocy dla państw regionu. Choć trudno było przesądzić, czy wydarzenia w świecie arabskim oznaczały transformację ustrojową w kierunku państwa demokratycznego, przychylnego Zachodowi, co byłoby procesem z punktu widzenia USA i ich europejskich sojuszników najbardziej pożądanym, czy zaledwie transpozycję władzy, a nawet zbudowanie systemu opartego na fundamentalizmie islamskim, co wydawało się wysoce prawdopodobne. Niemniej jednak udzielenie wielostronnej pomocy dawało jakąś gwarancję, że rozwój wypadków i charakter przemian w świecie arabskim spełni oczekiwania Zachodu. Bez takiej pomocy gwarancji nie byłoby żadnej.

Deklaracje pomocy ze strony Stanów Zjednoczonych znalazły się w głośnym przemówieniu prezydenta Obamy z 19 maja 2011 r skierowanym do świata arabskiego, zaś pod koniec maja 2011 r. pomoc krajom Północnej Afryki w wysokości 40 mld dol. zadeklarowali także przywódcy państw grupy G8. W ciągu następných kilkunastu miesięcy Amerykanie wsparli procesy transformacji w państwach arabskiej wiosny sumą ponad 500 mln dol.¹²² Także Europejczycy mieli szansę uczestniczyć w demokratyzacji państw arabskich w sposób praktyczny: przekazując technologię, koordynując i finansując różne programy, a także udzielając politycznych konsultacji i porad. Wydawało się, że właśnie Europa powinna wystąpić z programem partnerstwa i pomocy dla zrewoltowanego regionu. Różnorodne doświadczenia w procesach transformacji oraz budowaniu demokracji niewątpliwie stanowiły niekwestionowany atut państw europejskich, w tym szczególnie z Europy Środkowo-Wschodniej.

Pełną świadomość tego wyzwania miała Warszawa. Polska jako pierwsza utworzyła przy libijskim rządzie powstańczym w Bengazi unijną placówkę dyplomatyczną, a minister spraw zagranicznych R. Sikorski należał do dyplomatów, którzy najwcześniej i najczęściej wizytowali region arabskiej rewolucji, deklarując pomoc w transformacji demokratycznej. Także Niemcy wyrażały wolę wspierania misji humanitarnych UE, kierowanych do ogarniętej wojną domową Libii, co było swego rodzaju formą ratowania swojej opinii w NATO nadwierzęzonej kontrowersyjną postawą wobec operacji libijskiej¹²³. Mógł to być wielki sprawdzian pozycji całej Europy w świecie i okazja, by wykorzystać swą *soft power*, czyli sztukę dialogu, wspierania i zachęty do przemian oraz okazać wolę udzielenia pomocy gospodarczej i politycznej.

Warto zwrócić uwagę na jeszcze jeden aspekt zagadnienia. To, co kiedyś było domeną Ameryki – misja krzewienia demokracji i budowy wolnego

¹²² Według T. C. Wittes, *Supporting Arab Transitions: Four Challenges for the Next U.S. President*, November 6, 2012, www.brookings.edu/research/opinions/2012/11/06-arab-transitions-us-president.

¹²³ Według informacji przekazanych deputowanym w Bundestagu oficerowie niemieccy służyli pomocą w sztabie NATO, kierującym operacją libijską; było to więc pośrednie wsparcie działań zbrojnych Sojuszu, „Der Spiegel” z 19 VIII 2011; zob. też J. Dempsey, *Germany Would Join Aid Mission ...*

rynku, czyli słynne amerykańskie posłannictwo, podjęte z taką determinacją i różnymi skutkami przez administrację G. W. Busha – mogło stać się tym razem wyzwaniem dla całej wspólnoty transatlantyckiej, tworząc jednocześnie dodatkowe uzasadnienie dla jej istnienia oraz rodzaj nowego spoiwa. Mogło też służyć zatarciu złego wrażenia, jakie w tym regionie stwarzały kolonialna przeszłość Europy oraz sojusz Ameryki z autorytarnymi reżimami. Realizacja tych zadań wymagała jednak determinacji, konsekwencji, ducha solidarności i odpowiedzialności – cech i atrybutów, których układowi transatlantyckiemu niekiedy brakowało. Sytuacja w Afryce Północnej stwarzała znakomitą okazję, aby dla wzmocnienia relacji transatlantyckich do nich powrócić.

Wydarzenia z września 2012 r. zdawały się sugerować niepowodzenie zamierzeń Zachodu wobec państw arabskiej wiosny. Antyamerykańskie zamieszki, będące reakcją na rozpowszechniony w Internecie amatorski film obrażający proroka Mahometa, których kulminacją było zabicie w Libii, 12 września 2012 r. amerykańskich dyplomatów, w tym ambasadora USA, podważały sens wspierania arabskiej rewolucji. Uzbrojone tłumy atakowały amerykańskie placówki dyplomatyczne niemalże w całej Afryce Północnej i większości państw Bliskiego Wschodu. Zamieszki objęły także inne państwa muzułmańskie, w tym tak odległe od regionu niedawnej rewolucji arabskiej, jak Bangladesz i Pakistan. Gdyby uznać, że rzeczywistym powodem masowych protestów był zaledwie kilkunastominutowy film, uważany przez wyznawców islamu za atak na ich religię, podobnie jak było to w 2005 r., po publikacji karykatur Mahometa przez duńską gazetę, można by wpisać to w charakterystyczną dla muzułmanów reakcję w podobnych sytuacjach.

Jednak fakt, że stało się to w świecie, który właśnie przechodził proces bezprecedensowej transformacji po obaleniu dyktatorów, do czego – jak w przypadku Libii – przyczyniła się znacząco wojskowa pomoc Ameryki i państw europejskich, zmuszał do postawienia kilku zasadniczych pytań. Najważniejsze z nich dotyczyło skali niechęci i wrogości wyznawców islamu do Stanów Zjednoczonych i generalnie Zachodu, której ani pomoc dla powstańców libijskich, ani zadeklarowane wsparcie finansowe dla przemian w Egipcie, Tunezji czy Libii nie były w stanie zmniejszyć. To, że do zabicia ambasadora J. Christophera Stevensa, dyplomaty niezwykle zaangażowanego w dialog ze światem muzułmańskim, doszło w Bengazi, stolicy prowincji Cyrenajka, w której rozpoczęło się powstanie libijskie i której nie utożsamiano z islamskim fundamentalizmem, nie napawało optymizmem. Podobnie optymistycznie nie nastrojała sytuacja w Egipcie, gdzie w demokratycznych wyborach – zgodnie z przewidywaniami – zwycięstwo w styczniu 2012 r. odniosło Bractwo Muzułmańskie, a uchodzący za zagorzałego islamistę prezydent Muhammed Mursi długo ociągał się z potępieniem aktów agresji na ambasadę amerykańską w Kairze. Dalsza polityka Egiptu pozostawała wielką niewiadomą.

Oczekiwanie, że sojusznicy europejscy, w tym z Europy Środkowo-Wschodniej, odegrają większą rolę w przekazywaniu doświadczeń transformacyjnych, wydawało się doskonałym rozwiązaniem, nie tylko jako swego

rodzaju nowe spoivo dla wspólnoty transatlantyckiej, ale przede wszystkim jako realna pomoc dla państw arabskiej wiosny. Jak pisała amerykańska ekspert – „inwestycja w arabską demokrację jest dobrą inwestycją”¹²⁴. Pomoc w procesie transformacji pozostała jednak w sferze niezrealizowanego projektu. Problemem był kryzys gospodarczy, a szczególnie kryzys w strefie euro, z którym borykały się państwa Unii Europejskiej. Także Stany Zjednoczone, z największym trudem walczące z recesją, nie były w stanie zaoferować pomocy inwestycyjnej na miarę potrzeb i oczekiwań regionu.

¹²⁴ T. C. Wittes, *Supporting Arab Transitions...*

Amerykańskie i europejskie rozczarowania

Wiele czynników i wydarzeń, jak choćby nowa Koncepcja strategiczna NATO, czy wspólny wysiłek zbrojny w Libii, pozwoliło przywrócić lepszą atmosferę w relacjach transatlantyckich, a nawet działało na rzecz jej umocnienia. Z drugiej jednak strony stosunkom amerykańsko-europejskim daleko było do ideału, czego wyrazem stało się wystąpienie sekretarza obrony Gatesa w czerwcu 2011 r. Pozostały niespełnione nadzieje i niezrealizowane obietnice, które nie napawały optymizmem, tym bardziej że nowe okoliczności i problemy komplikowały bieg spraw.

Za prezydentury B. Obamy kontynent europejski przestał być regionem o pierwszorzędym znaczeniu. Obok zaabsorbowania trudnościami ekonomicznymi w jakiejś mierze wynikało to także ze zmiany pokoleniowej i osłabienia więzi emocjonalnych między politykami amerykańskimi a przywódcami europejskimi. Pokolenie pamiętające okres zimnowojenny, tak istotny dla kształtowania i umocnienia się wspólnoty transatlantyckiej, zniknęło z amerykańskiego (i europejskiego) życia politycznego. O tym także mówił Gates, przestrzegając, że następnii przywódcy Ameryki, którzy nie pamiętają czasów zimnej wojny i nie mają sentymentu do NATO, mogą po prostu uznać, że sojusz z Europą przestał się opłacać¹²⁵. O bliskich związkach ze Starym Światem decydować miały teraz bardziej względy pragmatyczne niż – jak to było przez ostatnie ponad pół wieku – doświadczenie historyczne, więzi uczuciowe lub kulturowe.

Słabnące zainteresowanie Europą wynikało też z prostego faktu, że przestała być ona przedmiotem szczególnych obaw amerykańskich o jej bezpieczeństwo, stabilizację i postępy w demokracji, jak działo się w czasach zimnej wojny i w pierwszym okresie po jej zakończeniu. Prezydent Obama postrzegał Europę przede wszystkim w kontekście i w zestawieniu z innymi problemami, stanowiącymi rzeczywiste wyzwanie dla amerykańskich interesów i priorytetów. Europa nie będąc już głównym zobowiązaniem Stanów Zjednoczonych w zakresie bezpieczeństwa, została podporządkowana innym celom amerykańskiej polityki zagranicznej. Myśl tę rozwijał R. Kagan pisząc, że „Obama jest pierwszym naprawdę pozimnowojennym prezydentem USA. Nie łączy wielkich emocji z Europą. (...) Jako człowiek sterujący supermocarstwem, które ma wiele kłopotów, zastanawia się przede wszystkim nad tym, co Europa może zrobić dla niego. A jej znaczenie strategiczne maleje z roku na rok – na jej własną prośbę, z powodu tego, co Europa robi i czego nie robi”¹²⁶.

Administracja Obamy oczekiwała więc, że relacje transatlantyckie nie będą tylko wspólnotą wartości i zasad, sprowadzającą się do problemu bezpieczeństwa, czyli *de facto* NATO, ale zyskają bardziej praktyczny charakter.

¹²⁵ Cyt. w: S. Fidler, J. Barnes, *Gates Calls Others to Join Libya Fight...*

¹²⁶ Rozmowa z R. Kaganem *Obama – cudu nie było* w „Gazecie Wyborczej” 16-17 I 2010.

Takie sugestie – przypomnijmy – formułowała pod adresem Europy także administracja Clintona. Jednak Ameryka czasu Obamy zdecydowanie chciała Europy, na którą będzie można liczyć przy rozwiązywaniu różnych problemów i która będzie angażować się na miarę swych możliwości w różnych częściach świata, nawet odległych od teatru europejskiego. „Pragniemy mieć silnych sojuszników. Nie chcemy być patronami Europy. Oczekujemy, że będziemy partnerami Europy” – mówił prezydent Obama w kwietniu 2009 r. podczas swej pierwszej podróży europejskiej¹²⁷. Wobec różnych wyzwań, takich jak problemy globalnej gospodarki, terroryzm, groźba proliferacji broni jądrowej, konflikt bliskowschodni celem administracji Obamy była współpraca z każdym, kto okazałby skuteczną pomoc przy rozwiązaniu tych problemów. W tym Waszyngton widział szczególną rolę sojuszników europejskich¹²⁸. Miało to oznaczać w efekcie zrównoważenie stosunków transatlantycznych i nowy podział zadań.

Tymczasem państwa europejskie, choć zintegrowane w Unii Europejskiej, posiadającej już swego rodzaju ministra spraw zagranicznych, nie zdołały zaprezentować się jeszcze jako skuteczny, aktywny gracz na arenie międzynarodowej, mówiący jednym, silnym głosem. Doświadczył tego zresztą osobiście prezydent Obama już w kwietniu 2009 r., podczas swego pierwszego pobytu w Europie, gdy w trakcie spotkania z przywódcami UE w Pradze był zmuszony wysłuchiwać różnych, czasami sprzecznych ze sobą głosów polityków europejskich, a zabrakło wspólnej wizji, co Europa może zrobić i jak może działać. Efektem tego rozczarowania było odwołanie przez Obamę udziału w kolejnym szczycie USA – UE, planowanym na maj 2010 r. w Hiszpanii, co uznano w Starym Świecie za „policzek” ze strony amerykańskiego prezydenta¹²⁹. Trudno było jednak zaprzeczyć, że Europejczycy nie przejęli w relacjach międzynarodowych roli ważnego podmiotu, którym potencjalnie Unia Europejska przecież była i co zapisano w traktacie lizbońskim. Co gorsze, mimo upływu czasu ten deficyt europejskiej dyplomacji zdawał się nie ustępować.

Nie chodziło o sprawy drobne, jak to, że państwa europejskie, choć konsekwentnie krytykowały przetrzymywanie bez wyroków, podejrzewanych o terroryzm w bazie Guantanamo, odmawiały przyjęcia uwolnionych więźniów na swoje terytorium. Ale odnieść to można było do problemów o wymiarze szerszym, chociażby do konfliktu bliskowschodniego, gdzie zabrakło rzeczywistej determinacji, aby zaangażować się dyplomatycznie na miarę możliwości Europy w realizację procesu pokojowego (na spotkaniu w Waszyngtonie, inaugurującym nowy etap rozmów izraelsko-palestyńskich, w lecie 2010 r., nie było kierującej dyplomacją unijną C. Ashton). Europa, oczekując na działania Ameryki, w praktyce ograniczała swą rolę do pomocy finansowej dla strony pa-

¹²⁷ Cyt. w: M. E. O’Hanlon, *Obama’s Solid First Year on Foreign Policy*, www.brookings.edu/opinions/2010/0101_obama_foreign_policy_ohanlon.aspx.

¹²⁸ Zob. wywiad z B. Obamą *Potrzebujemy siebie nawzajem*, „Polityka” 8 VI-14 VI 2001.

¹²⁹ Zdecydowano wobec tego, że szczyty USA-UE odbywać się będą nie co roku, jak było to w zwyczaju, ale w razie konieczności i gdy pojawią się konkretne sprawy do rozstrzygnięcia; *EU-US summits to take place ‘only when necessary’*, 27 III 2010, www.euobserver.com/9/29782?print=1.

lestyńskiej (około 1 mld euro rocznie). Natomiast wobec Izraela i jego polityki państwa UE demonstrowały różne stanowiska i oceny – od bardzo krytycznych (dominujących np. w Wielkiej Brytanii i Francji) do bardziej przychylnych (wyrażanych np. w Polsce). Podobnie słabo dostrzegalna była rola UE przy rozwiązywaniu groźnego i nadal nieprzezwyciężonego dylematu ambicji nuklearnych Iranu. O pomoc w tej sprawie i przygotowanie konkretnych propozycji już na początku swej prezydentury Obama apelował do sojuszników europejskich. Było to zrozumiałe, gdyż – jak wiadomo – swego czasu to państwa tzw. trojki (Francja, Niemcy, Wielka Brytania) występowały jako strona w rozmowach z reżimem ajatollahów. Odpowiedzi z Europy jednak nie było.

Brak więc było zdefiniowanej wspólnej polityki zagranicznej Europy wobec najważniejszych dla świata spraw. Nadal zależała ona przede wszystkim od woli politycznej demokratycznie wybieranych rządów – choćby strategia wobec Libii wypracowana została przez koalicję francusko-brytyjską poza strukturami Unii Europejskiej. Natomiast pozycja lady Ashton, kierującej Europejską Służbą Działań Zewnętrznych, wydawała się za słaba, by kształtować i forsować unijny punkt widzenia. Nawet kolejne placówki dyplomatyczne UE, otwierane w różnych państwach Azji, Afryki i obu Ameryk, nie rozwiązywały problemu – ani nie potwierdzały istnienia jednolitej polityki zagranicznej Unii Europejskiej, ani nie czyniły z Brukseli liczącego się partnera w sprawach międzynarodowych. Można było zatem jedynie powiedzieć, że potrzeba jeszcze czasu i niesłabnącego zapału, aby udało się wykorzystać istniejący potencjał i wspólnym wysiłkiem stworzyć jednolitą politykę europejską.

Prestżu Europie nie przysporzyło także fiasko „szczytu klimatycznego” w Kopenhadze pod koniec 2009 r. Wydawało się, że Unia Europejska może odegrać rolę wiodącą w walce ze zmianami klimatycznymi, być skuteczną w negocjacjach z różnymi państwami, w tym ze Stanami Zjednoczonymi – tak zresztą w pewnym okresie było. Tymczasem konferencję klimatyczną w stolicy Danii rozegrali między sobą Amerykanie, Chińczycy, Brazylijczycy i Hindusi. Rozczarowujące efekty spotkania w Kopenhadze osłabiły nie tylko autorytet Europy, ale i jej wiarę we własne siły oraz możliwości. Sytuacja dość zaskakująca, jeśli przypomnieć, że dotychczas to Stany Zjednoczone blokowały rzeczywisty postęp w walce z efektem cieplarnianym.

To, że Europa nie sprawdziła się w ostatnim czasie jako strategiczny aktor, na którego liczyły Stany Zjednoczone, wynikało – obok całego kompleksu problemów związanych z kryzysem gospodarczym – także z braku gotowości państw europejskich do podejmowania większych zobowiązań i większej odpowiedzialności za bieg spraw w świecie. Wymagało to bowiem pokonania narodowego egoizmu, większego poświęcenia, zademonstrowania woli partnerskiego współdziałania z Ameryką, a tych przesłanek często brakowało. Europa nadal nie potrafiła wykreować własnego przywództwa politycznego, ani uzgodnić, jaką rolę powinna odgrywać w świecie¹³⁰. Warto dodać, że na polu

¹³⁰ Zob. Z. Brzeziński, *From Hope to Audacity. Appraising Obama's Foreign Policy*, „Foreign Affairs” January/February 2010, No 1, s. 28.

polityki zagranicznej, a także obronnej państwa członkowskie UE zachowały silne poczucie narodowej niezależności, co w wielu wypadkach było zrozumiałe. Wszak Unię Europejską tworzą niepodległe państwa o różnych interesach, a przynajmniej różnie je definiujące. Trudno zatem forsować jeden europejski punkt widzenia. Nawet angażując się w działania NATO w Afganistanie państwa europejskie – rzecz warta przypomnienia – czyniły to *de facto* jako indywidualni sojusznicy, silnie uzależnieni od narodowych uwarunkowań i ograniczeń. W efekcie Afganistan przyczynił się do nasilenia wzajemnego transatlantyckiego rozczarowania, a Europa – z perspektywy Waszyngtonu – nie sprawdziła się jako zaangażowany i odpowiedzialny partner, którego ten wyraźnie potrzebował. Partner dysponujący wspólnym, jednoznacznym stanowiskiem¹³¹.

Administracja amerykańska liczyła na powstanie bardziej zintegrowanej i skutecznej Europy i oczekiwała solidarnego działania sojuszników. Rozwój wypadków przyniósł rozczarowanie. Okoliczności wymusiły więc sprowadzenie partnerstwa atlantyckiego – podobnie jak było w przeszłości – właściwie do bilateralnych relacji z trzema głównymi państwami europejskimi, mającymi znaczenie i pozycję w świecie: Wielką Brytanią, Niemcami i Francją. Te kraje prezydent Obama najczęściej odwiedzał podczas swych nielicznych podróży do Europy. Tylko one spośród państw europejskich zostały wymienione z nazwy jako najbliżsi sojusznicy Ameryki w *National Security Strategy*, ogłoszonej w maju 2010 r.¹³². Ale nawet w odniesieniu do tych państw trudno było mówić o umocnieniu więzi. „Korzyści z takiego dialogu były ograniczone politycznymi różnicami, występującymi między przywódcami tych państw – pisał Z. Brzeziński, powtarzając zresztą tezę, którą głosił już znacznie wcześniej. „Dlatego powstanie faktycznie zjednoczonej Europy i dzięki temu liczącej się w kalkulacjach Obamy, wydaje się w najbliższym czasie niemożliwe”¹³³.

Jeśli uznać, że administracja Obamy miała powody, aby czuć się rozczarowana partnerstwem z Europą, to także niektóre państwa europejskie miały uzasadnione racje, rewidując swoją postawę wobec Stanów Zjednoczonych. Przede wszystkim dotyczyło to państw Europy Środkowo-Wschodniej. Kraje tego regionu, stanowiącego strategiczną granicę z Rosją, tradycyjnie pragnęły silnych więzów z Ameryką. Były zresztą gotowe i dały wielokrotnie przykład w okresie pozimnowojennym, zwłaszcza w czasie prezydentury Busha juniora, pełnej lojalności oraz bezwarunkowego zaufania wobec amerykańskiego supermocarstwa. Tymczasem już pierwsze miesiące urzędowania administracji Obamy dowiodły, że niemal zupełnie straciła ona z pola widzenia tę część Europy. Wynikało to z faktu, że prezydent próbował traktować kontynent europejski jako całość, a jeśli był już zmuszony do kultywowania wyjątkowych

¹³¹ Zob. Ch. A. Kupchan, *NATO's Hard Choices*, „The New York Times” 31 III 2009.

¹³² *National Security Strategy*, May 2010...; należy dodać, że wprawdzie w dokumencie autorzy piszą o relacjach z sojusznikami europejskimi jako o „kamieniu węgielnym zaangażowania USA w świecie i katalizatorze działań międzynarodowych”, jednak Europie poświęcono niemal tyle samo miejsca co współpracy z sojusznikami w Azji i Ameryce Północnej.

¹³³ Z. Brzeziński, *From Hope to Audacity...*, s. 28.

relacji ze stolicami państw, to raczej z tymi o tradycyjnie większej wadze z perspektywy Waszyngtonu – Londynem, Berlinem czy Paryżem.

Świadomość tak wyraźnego przetasowania w amerykańskim działaniu politycznym szybko dotarła do przywódców Europy Środkowej i Wschodniej. Już w lipcu 2009 r. grupa uznanych polityków i wybitnych intelektualistów, wśród których byli m.in. Lech Wałęsa i Vaclav Havel, Valdas Adamkus i Aleksander Kwaśniewski, Ivan Krastev i Adam D. Rotfeld, skierowała do prezydenta Obamy list otwarty. Wyrażano w nim z troską o stan relacji tej części Europy z Ameryką oraz apelowano o utrzymanie w orbicie zainteresowania Waszyngtonu spraw wschodnio- i środkowoeuropejskich. Pisano: „Dzisiaj celem musi być utrzymanie Europy Środkowej i Wschodniej jako stabilnego, aktywnego atlantyckiego partnera naszej szerokiej wspólnoty. To stanowi klucz do powodzenia wysiłków administracji Obamy, która przecież zobowiązała się działać na rzecz odbudowy układu atlantyckiego i które to wysiłki wspieramy. To jednak wymaga uwzględnienia racji obu stron oraz obustronnego zaangażowania. (...) Podejmując teraz odpowiednie kroki, umocnimy nasze relacje na przyszłość, tworząc dla nich silną podstawę”¹³⁴.

Pomimo tego, że przesłanie skierowane do prezydenta Obamy miało bezprecedensowy charakter, a także odbiło się echem w Europie i Stanach Zjednoczonych – jego publicznej prezentacji w Waszyngtonie dokonał wybitny analityk ds. europejskich i doradca polityczny R. D. Asmus, to jednak pozostało ono bez odpowiedzi. Potwierdzało to wyrażane w liście obawy o marginalizację spraw państw tego regionu Europy w polityce amerykańskiej.

Istniała jeszcze jedna przyczyna odsunięcia Europy Środkowo-Wschodniej na dalszy plan w kalkulacjach Waszyngtonu. Wiązała się ona bezpośrednio z nowymi zasadami polityki zagranicznej administracji Obamy. W nowym myśleniu o amerykańskiej roli w świecie i charakterze relacji Stanów Zjednoczonych z ich otoczeniem międzynarodowym szczególną rolę zaczęła odgrywać Rosja. Trudno się zresztą temu dziwić. Czynniki rosyjski, podobnie jak kiedyś radziecki, stanowił i stanowi z oczywistych przyczyn jeden z ważniejszych punktów odniesienia zarówno dla polityki Stanów Zjednoczonych, jak i Europy. Tym samym w sposób bardziej lub mniej bezpośredni wpływał i wpływa na relacje transatlantyckie. Tak było wówczas, gdy dyskutowano o otwarciu NATO na Wschód i właśnie stopień uwzględniania sprzeciwu Rosji różnicował stanowiska państw członkowskich lub gdy Moskwa próbowała wykorzystywać na gruncie europejskim spór wokół interwencji w Iraku, budując z Paryżem i Berlinem „front odmowy”.

Już w lutym 2009 r., podczas monachijskiej konferencji na temat bezpieczeństwa, dyplomacja amerykańska zapowiedziała nowe otwarcie w relacjach z Rosją. „Czas nacisnąć klawisz *reset* i zrewidować wiele obszarów, w których możemy i powinniśmy współpracować” – oznajmił wówczas wiceprezydent J. R. Biden¹³⁵. W dzisiejszym świecie prostych konstrukcji słownych określe-

¹³⁴ *Open Letter to Obama from Vaclav Havel, Lech Valesa and Others*, 16 VII 2009, www.robertamsterdam.com/2009/07/a_letter_to_obama.htm.

¹³⁵ J. R. Biden, *Speech at the 45th Munich Conference*, 7 II 2009, www.securityconference.de/konferenzen/rede.php?menu_2009=&menu_konfer.

nie „reset” stało się niezwykle głośnym i popularnym hasłem. Bardzo szybko okazało się jednak, że administracja Obamy traktuje „resetowanie” stosunków z Rosją nie tylko jako zgrabny slogan, ale rzeczywisty kierunek amerykańskiej polityki, którego realizacji zamierza poświęcić wiele czasu i wysiłku.

Trudno zaprzeczyć, że budowa trwałego bezpieczeństwa w Europie, a także podołanie wyzwaniom globalnym i regionalnym – szczególnie w sytuacji dyfuzji nowych potęg – bez współpracy z rosyjskim partnerem, jeśli nie jest niemożliwe, to przynajmniej będzie znacznie trudniejsze. Dlatego też relacje z państwem rosyjskim mogły wpisać się idealnie w nowy styl działań administracji Obamy na arenie międzynarodowej: szukania współpracy i porozumienia. Z jednej strony „reset” w stosunkach z Moskwą doprowadził do podpisania 8 kwietnia 2010 r. nowego dokumentu *START*, poważnie zmniejszającego limit amerykańskich i rosyjskich głowic jądrowych. Był to akt bardzo ważny, gdyż wygaszał właśnie traktat *START I*, pod którym podpisy jeszcze w grudniu 1991 r. złożyli G. H. W. Bush senior i Michaił Gorbaczow.

Interesy Stanów Zjednoczonych związane z Rosją to także możliwość dalszego wykorzystania rosyjskiej (poradzieckiej) przestrzeni powietrznej i lądowej do transportu dostaw przeznaczonych dla zachodnich sił sojuszniczych w Afganistanie. Ta pomoc logistyczna była niemal warunkiem powodzenia misji *NATO* i Amerykanów pod Hindukuszem. Do agendy spraw znacznie trudniejszych do rozwiązania bez udziału Rosji zaliczyć należało również kwestię zablokowania irańskiego programu nuklearnego oraz konflikt bliskowschodni. Z czasem doszedł jeszcze problem Syrii i zagrożenia ze strony Korei Płn. Postawa Rosji wobec tych problemów miała znaczenie kluczowe i jej twarde weto w Radzie Bezpieczeństwa mogło zablokować wysiłki Stanów Zjednoczonych oraz państw zachodnich, jak stało się w przypadku Syrii i potępienia reżimu Baszara al-Asada. Choćby dla tych globalnych i regionalnych wyzwań warto się było z Moskwą układać.

Z drugiej strony, polityka „resetowania” stosunków z Rosją miała swoją cenę. Choć zaowocowała podpisaniem nowego traktatu *START*, to równocześnie zdaniem niektórych analityków, Ameryka decydowała się na zbyt daleko idące ustępstwa wobec Moskwy. Tak odebrano w Europie fakt rezygnacji z projektu „tarczy antyrakietowej”, której elementy miały być instalowane w Polsce i Czechach, jak głosiły zapisy Deklaracji w sprawie współpracy strategicznej. W sierpniu 2008 r. rząd Polski podpisał ją z odchodzącą za kilka miesięcy z Białego Domu administracją Busha, licząc że w ten sposób bezpieczeństwo Polski i Czech zostanie silniej związane z bezpieczeństwem Stanów Zjednoczonych.

Gdy do Białego Domu wprowadzili się demokraci, projekt „tarczy antyrakietowej” stał się wielką niewiadomą. Nowy prezydent od początku wyrażał sceptycyzm wobec systemu obrony przeciwrakietowej. Jednak strona polska wierzyła, że Obama nie przekreśli porozumień podpisanych przez swego poprzednika. Sądzono, że zobowiązania podjęte wobec oddanych sojuszników Ameryki będą dotrzymane. O realizację projektu „tarczy antyrakietowej”

apelowano w pamiętnym liście autorytetów z Europy Środkowej i Wschodniej, skierowanym w lipcu 2009 r. do Waszyngtonu. Tymczasem 17 września 2009 r., zamiast odpowiedzi na list Polska została oficjalnie poinformowana o zmianie planów – administracja Obamy zrezygnowała z instalowania w naszym kraju bazy pocisków przechwytyjących¹³⁶. Nie oznaczało to wprawdzie całkowitego odstąpienia od wcześniejszych planów budowy systemu obrony antyrakietowej, raczej ich zmianę, jednak trudno było nie dostrzec politycznego aspektu całej sprawy. Wszak chodziło nie tylko o względy techniczne i finansowe – proponowany program wydawał się nie tylko tańszy, ale sprawniejszy technologicznie i dlatego, jak twierdzono, w większym stopniu gwarantujący bezpieczeństwo Stanom Zjednoczonym oraz jego sojusznikom. Ważny w całej sprawie, szczególnie z polskiej perspektywy, był czynnik rosyjski. Wiedząc, że rozmieszczenie amerykańskich instalacji antyrakietowych w krajach tzw. bliskiej zagranicy wywołuje irytację i ostry sprzeciw Moskwy, administracja Obamy zdecydowała się odstąpić od decyzji swego poprzednika. Gdy więc w myśleniu prezydenta Obamy i jego współpracowników Rosja stała się państwem o szczególnym znaczeniu, wręcz nieodzownym przy przezwyciężaniu wyzwań na arenie międzynarodowej, zdecydowano się na przyjazny wobec niej gest.

Stało się to kosztem relacji z niektórymi krajami Europy Środkowo-Wschodniej. Negatywnego rezonansu bowiem tej decyzji nie były w stanie już zmienić ani plany zrealizowania innej technologii antyrakietowej z wykorzystaniem terytorium Europy Środkowo-Wschodniej i stacjonowania na jej obszarze grupy wojsk amerykańskich, ani kurtuazyjna podróż wiceprezydenta J. R. Bidena do stolic państw tego regionu na jesieni 2009 r. Choć trudno nie zgodzić się z opinią, że w stolicach państw Europy Środkowo-Wschodniej, a szczególnie w Warszawie, przeceniono wagę własnych atutów i możliwości w relacjach ze Stanami Zjednoczonymi, to jednak sposób potraktowania tego regionu musiał wywołać zrozumiałą krytykę. Wielce wymowna w tym kontekście była również nieobecność prezydenta Obamy w Berlinie 9 listopada 2009 r., podczas obchodów 20-rocznicy obalenia muru berlińskiego, upamiętniających początek procesu integrowania się Europy Środkowo-Wschodniej ze wspólnotą transatlantycką. W sytuacji, gdy do stolicy Niemiec zjechali wówczas wszyscy czołowi przywódcy państw europejskich, udział sekretarza stanu H. Clinton miał niezwykle niską rangę. Nie tylko dowodził niezrozumienia przez Obamę wagi wydarzeń, które świętowano w Berlinie, ale przede wszystkim zdawał się potwierdzać brak zainteresowania tą częścią kontynentu.

W następnych latach pierwszej kadencji Obamy w Białym Domu w podejściu Waszyngtonu do Europy Środkowo-Wschodniej niewiele się zmieniło. Nawet wizyta polskiego prezydenta Bronisława Komorowskiego w Stanach Zjednoczonych i rozmowa z Barackiem Obamą w grudniu 2010 r. oraz podróż

¹³⁶ Wielu komentatorów w Europie, a już niemalże wszystkie głosy w Polsce, podnosiły wyjątkowo nieszczęśliwą zbieżność dat – 17 września przypada rocznica radzieckiej agresji na Polskę w 1939 r.

amerykańskiego prezydenta do Polski pod koniec maja 2011 r. i spotkanie z przywódcami państw Europy Środkowej i Wschodniej (podobnie jak inne, mniejszej rangi spotkania dyplomatyczne i gesty polityczne administracji Obamy) nie stały się impulsem dla przewartościowania miejsca i roli Polski i Europy Środkowo-Wschodniej w polityce amerykańskiej. A przecież chodziło nie tylko o wyrażenie poparcia i danie satysfakcji tym państwom, ale mógł to być czynnik służący relacjom transatlantyckim, a przynajmniej umocnieniu więzi tej części kontynentu europejskiego ze Stanami Zjednoczonymi.

W efekcie po czterech latach urzędowania demokratów w Białym Domu trzeba było uznać porządek rzeczy, w którym Europa Środkowo-Wschodnia nie stała się żadnym znaczącym partnerem (nawet asymetrycznym) dla Stanów Zjednoczonych. Potwierdzało to przewidywania Z. Brzezińskiego, który w grudniu 2009 r. pisał, że z punktu widzenia Ameryki partnerem w relacjach może być tylko Europa jako całość, a nie poszczególni przywódcy państw z Europy Środkowej i Wschodniej¹³⁷. Patrząc jednak z innej perspektywy, należy dostrzec, że te właśnie doświadczenia zmusiły przywódców z Europy Środkowo-Wschodniej do „urealnienia” zarówno oczekiwań pod adresem Ameryki, jak i postrzegania swego miejsca w amerykańskiej polityce.

Słuszność takiego przewartościowania potwierdziła dalsza sekwencja wydarzeń w podejściu Stanów Zjednoczonych do Europy Środkowo-Wschodniej/Polski. Słynna wymiana zdań między Obamą a rosyjskim prezydentem Władimirem Miedwiediewem w marcu 2012 r., nie przeznaczona dla opinii publicznej, w której amerykański prezydent półgłosem informował, że po swojej zwycięskiej reelekcji „będzie miał większą swobodę manewru” w sprawie „tarczy antyrakietowej”, doskonale wpisywała się w tę tonację. Rodziła smutną refleksję na temat wiarygodności amerykańskiego prezydenta, który swoje rzeczywiste intencje skrywa przed sojusznikami, a ujawnia Rosji – będącej raczej rywalem niż sprzymierzeńcem Stanów Zjednoczonych. Powstało wrażenie, że w sytuacji utrzymującego się sprzeciwu Rosji wobec instalowania w Europie systemu obrony przeciw rakietowej także w jego nowej wersji, prezydent Obama zamierza podjąć decyzje, które będą odpowiadały przede wszystkim Moskwie, a niekoniecznie niektórym europejskim sojusznikom, w tym Polsce. Takie wnioski można było wysnuć z zasłyszanego fragmentu rozmowy obu przywódców. Z pewnością nie były to konkluzje dobrze świadczące o sposobie traktowania przez amerykańskiego prezydenta partnerów w Europie.

Polityka administracji Obamy wobec Rosji wywołała w Europie stan niepewności, tworząc nowe podziały, a przede wszystkim komplikując relacje transatlantyckie, których ważnym członem od 1999 r. stały się przecież kraje dawnej radzieckiej strefy wpływów w Europie. Z drugiej strony należy podkreślić, że sytuacji nie ułatwiała zróżnicowanie postaw państw europejskich wobec rosyjskiego giganta. Były bowiem państwa, takie jak Niemcy, które

¹³⁷ Dokładnie ów cytat brzmi następująco: „Z punktu widzenia Ameryki partnerem w relacjach może być tylko Europa jako całość. Przedstawiciele państw Europy Środkowej nie powinni przyjeżdżać do Waszyngtonu, aby dawać upust swoim lękom”. Z. Brzeziński, *Rosja nostalgii, Rosja nadziei*, „Gazeta Wyborcza” 12-13 XII 2009.

tradycyjnie myślały o Rosji jako ważnym elemencie paneuropejskiej architektury bezpieczeństwa. Wprawdzie kanclerz Merkel odeszła od wyjątkowej zażyłości, jaka charakteryzowała relacje jej poprzednika Gerharda Schrödera z Władimirem Putinem i potrafiła znacznie bardziej krytycznie wypowiadać się o różnych aspektach rosyjskiej polityki, lecz jednocześnie Berlin przyznawał, że na dobrych stosunkach Ameryki z Rosją skorzystać mogą wszyscy, zaś bezpieczeństwa transatlantyckiego nie można budować przeciwko Moskwie¹³⁸. Inny przykład stanowiła Wielka Brytania, gdzie z kolei trudniej było dostrzec szczególną wrażliwość na interesy rosyjskie.

Rację mieli również ci analitycy, którzy zarzucali Europie brak głębszej refleksji nad stosunkami z Rosją. W Unii Europejskiej nie było dyskusji ani o strategii bezpieczeństwa z udziałem Rosji, ani o bezpieczeństwie energetycznym. W tej sytuacji powstawało wrażenie, że cokolwiek Stany Zjednoczone nie uczyniłyby wobec Rosji i jakiej nie prowadziłyby polityki, spotkałoby się to z krytyką, płynącą z tej lub innej stolicy europejskiej, wywołując niepotrzebne napięcia i spory we wspólnocie transatlantyckiej oraz prowadząc do jej zachwiania¹³⁹.

Pierwsza kadencja Baracka Obamy w Białym Domu z całą mocą ujawniła również inne dylematy amerykańskiej polityki, wpływające na kształt i funkcjonowanie wspólnoty transatlantyckiej, prowadząc w efekcie do frustracji w wielu stolicach europejskich. Ameryce czasu Obamy przyszło już działać w świecie nowych, konkurencyjnych wobec USA potęg, silnie zagrażających ich interesom. Podczas gdy Unia Europejska, ogarnięta kryzysem gospodarczym i finansowym, stojąca przed realną już perspektywą dezintegracji, przestała być w ostatnim czasie „natchnieniem świata”, o którym pisano na początku wieku, słabiej też rysowała się jako gospodarczy rywal USA¹⁴⁰, a przede wszystkim nie spełniła oczekiwań Ameryki jako ważny gracz na arenie międzynarodowej, to inne siły stały się rzeczywistym konkurentem dla Stanów Zjednoczonych.

Takim wyzwaniem zarówno dla amerykańskiej gospodarki, jak i polityki stały się Chiny, konsekwentnie i dynamicznie rozwijające się przez ostatnie lata. Wystarczy przytoczyć kilka danych: Stany Zjednoczone w 2012 r. były zadłużone w Chinach na sumę ok. 1,7 bln dol., zaś według prognoz *Citi Investment Research and Analysis* już w 2020 r. Chiny, z blisko 10-proc. wzrostem gospodarczym znajdą się przed USA pod względem PKB (21,9 bln dol. PKB Chin w stosunku do 19,1 bln dol. produktu Stanów Zjednoczonych), zaś Indie przed Niemcami, a Rosja przed Wielką Brytanią i Francją. W 2030 r.

¹³⁸ Zob. szerzej: S. Żerko, *Rosja w polityce Niemiec*, w: J. Kiwerska, B. Koszel, M. Tomczak, S. Żerko, *Polityka zagraniczna zjednoczonych Niemiec*, Poznań 2011, s. 324-336.

¹³⁹ Zob. ciekawą analizę w: J. Shapiro, N. Witney, *Towards a Post-American Europe: A Power Audit of EU-US Relations*, European Council on Foreign Relations, , November 2009, s. 54-55.

¹⁴⁰ Według szacunków *Carnegie Endowment for International Peace* w 2050 r. USA osiągną PKB o 12,03 bln dol. większy od PKB Unii Europejskiej (w 2010 PKB Stanów Zjednoczonych był o 1,48 bln dol. mniejszy od PKB Unii); cyt. za: Z. Brzeziński, *Strategic Vision. America and the Crisis of Global Power*, New York 2012, s. 56.

PKB Chin ma być większy niż łączne PKB USA i Japonii (a PKB Indii większy niż łączny produkt Niemiec, Wielkiej Brytanii i Francji)¹⁴¹.

Ten rosnący potencjał gospodarczy coraz wyraźniej przekładał się na zasoby i zdolności militarne nowych potęg i ich większą rangę polityczną. Podczas gdy jeszcze cztery lata temu mówiło się, że ambicje Chin ograniczają się głównie do sfery ekonomicznej, to u kresu pierwszej kadencji Obamy nie milkły głosy dowodzące, że rosnący potencjał gospodarczy Chin Ludowych zaowocował wzrostem ich aspiracji politycznych w regionie azjatyckim¹⁴². Pekin okazał się bardziej ofensywny w stosunku do swych sąsiadów, Filipin, Wietnamu i Tajwanu, budząc zaniepokojenie sąsiednich państw, w tym Japonii, a nawet Australii. Jeśli do tego dodać wyłączność Chin, jeśli chodzi o możliwość wpływania na polityków Korei Płn., straszących świat swym programem nuklearnym, to nie dziwi fakt, że uwaga administracji Obamy skoncentrowała się właśnie na regionie dalekowschodnim.

W listopadzie 2011 r., podczas podróży po krajach regionu Pacyfiku prezydent Obama zadeklarował: „Priorytetem USA w polityce zagranicznej stanie się region Azji i Pacyfiku”. Występując przed australijskim parlamentem podkreślał, że Stany Zjednoczone jako mocarstwo strefy Pacyfiku powinny mieć udział w kształtowaniu przyszłości tego regionu. Obecność USA w rejonie Azji i Pacyfiku miała uzyskać najwyższy priorytet w amerykańskiej polityce zagranicznej¹⁴³. Zaczęto wręcz mówić o amerykańskim „zwrocie ku Pacyfikowi” (*pivot to the Pacific Rim*)¹⁴⁴. Można dodać, że działo się to kosztem Europy i europejskich sojuszników. W tym samym bowiem czasie – jesienią 2011 r. – gdy administracja Obamy ogłosiła plan drastycznych cięć w wydatkach na obronę (ok. 500 mld dol. w ciągu najbliższej dekady) oraz redukcję amerykańskiej obecności wojskowej w Europie, równocześnie podpisała z premierem Australii porozumienie o wzmocnieniu amerykańskiej obecności wojskowej na antypodach. Zapowiedziano rozlokowanie w północnej Australii kontyngentu amerykańskich żołnierzy (początkowo 2,5 tys.). Nie zamierzano też zmniejszać baz Stanów Zjednoczonych w Japonii (40 tys. żołnierzy) i Korei Płd. (28,5 tys. żołnierzy). W planach było też dostarczenie pomocy zbrojeniowej dla Singapuru i Filipin. Wrażenia z tych działań były dość jednoznaczne – bardzo szybko pojawiła się opinia, że

¹⁴¹ Cyt. w: A. Lubowski, *Cegły bez zaprawy*, „Polityka” 18 VII – 24 VII 2012, s. 42. Z. Brzeziński (*Strategic Vision...*, s. 56) przytacza szacunki *Carnegie Endowment for International Peace*, wskazujące, że najwyższą w świecie pozycję pod względem wartości PKB Chiny osiągną w 2030 r. Trzeba jednak podkreślić, że inaczej przedstawia się sytuacja, gdy przeliczyć PKB na głowę jednego mieszkańca. Wówczas Chiny pozostaną daleko w tyle za Stanami Zjednoczonymi (w 2030 r.: USA – 59,59 dol. wobec 14,69 dol. na głowę jednego mieszkańca w Chinach); tamże s. 57. Por. także I. Romiszewska, *Chiny jako partner gospodarczy USA i Unii Europejskiej*, „Przegląd Zachodni” nr 1/2013, s. 220-221.

¹⁴² Zob. R. Kagan, *Why the World Needs America*, February 11, 2012, www.brookings.edu/articles/2012/0211_us_power_kagan.aspx?p=1.

¹⁴³ White House, Office of the Press Secretary, Remarks by President Obama to the Australian Parliament, November 17, 2011, www.whitehouse.gov/the-press-office/2011/11/17/remarks-president-obama-australian-parliament.

¹⁴⁴ Po raz pierwszy określenia tego użyło biuro prasowe Białego Domu tuż przed wizytą prezydenta Obamy w państwach Azji Południowo-Wschodniej w listopadzie 2011 r., zob. M. S. Indyk, K. G. Lieberthal, M. E. O’Hanlon, *op. cit.*, s. 56-59.

„Obama nie tyle jest pierwszym czarnym prezydentem USA, ile pierwszym azjatyckim”¹⁴⁵.

Przewidywania, że polityka Stanów Zjednoczonych skoncentruje się na obszarze Pacyfiku, towarzyszyły już początkom prezydentury Billa Clintona, który w przeciwieństwie do większości poprzednich prezydentów nie wywodził się ze Wschodniego Wybrzeża, tradycyjnie bliskiego Europie, ale z niewielkiego stanu Arkansas, a wielu jego współpracownikom bliżej było raczej do wybrzeży Pacyfiku niż Atlantyku. Ale to właśnie Clinton utrzymał silną więź z Europą, realizując m.in. wielki projekt otwarcia NATO na Wschód oraz zbrojnej interwencji Sojuszu w byłej Jugosławii. Może zatem i w odniesieniu do administracji Obamy nie należało przesądzać sprawy? Jednak w przypadku Obamy sytuacja była zupełnie inna. Nie ma wątpliwości, że pochodzenie 44. prezydenta USA – ojciec z Czarnej Afryki, dzieciństwo spędzone z dala od kontynentu północnoamerykańskiego: w Azji i na Hawajach – automatycznie narzucało słabszą niż dotąd więź emocjonalną z Europą i czyniło łatwiejszym zastąpienie orientacji atlantyckiej zdecydowaną opcją azjatycką.

Wpływ na to miało również ogólne rozczarowanie administracji Obamy inercją Europy. Wśród jej przedstawicieli rosło przekonanie o prawdziwości słów, które w czerwcu 2011 r., w sposób dość brutalny wygłosił R. Gates, a potem rozwijał amerykańscy analitycy i eksperci. Jeden z nich R. N. Haass, wówczas już szef nowojorskiego *Council on Foreign Relations*, najbardziej opiniotwórczego w dziedzinie polityki zagranicznej ośrodka w USA, na łamach „Washington Post” dowodził, że rola Europy w świecie będzie drastycznie spadać. „Konkluzje dla Ameryki są banalne. Choćbyśmy bardzo się starali, nie zmusimy Europejczyków, żeby spełnili nasze oczekiwania. Oni się zmienili. My się zmieniliśmy. Świat się zmienił” – pisał Haass. Czas poszukać nowych, równorzędnych partnerów w Azji, gdzie przenosi się środek ciężkości świata¹⁴⁶.

Co ciekawe, do pewnego stopnia zgadzał się z nim sekretarz generalny NATO, gdy komentował wypowiedź szefa Pentagonu, uważając słowa Gatesa za „dzwonek alarmowy, by Europejczycy zastanowili się, co robią i w jaki sposób zamierzają zachować istotną rolę na arenie międzynarodowej”. W przeciwnym razie „powstała w ten sposób pustka po osłabionej Europie mogą zająć wyłaniające się mocarstwa, jak Chiny czy Indie. A to niesie ryzyko, że Stany Zjednoczone zaczną kłaść główny nacisk na współpracę właśnie z Brazylią, Indiami, Chinami, a nie na Europę” – prognozował Rasmussen i ostrzegwał: „nie możemy traktować obecnych relacji transatlantyckich jako czegoś danego raz na zawsze”¹⁴⁷.

Amerykański „zwrot ku Pacyfikowi” – mimo że spodziewany, gdy wziąć pod uwagę obserwowane od dłuższego czasu trendy i zmiany w porządku międzynarodowym – jednak wywołał żywą reakcję w świecie. Z jednej stro-

¹⁴⁵ Emilio Lamo de Espinosa (prezes *Real Instituto Elcano* w Madrycie) w rozmowie z M. Stasińskim, *Nie pozwólmy umrzeć Europie*, „Gazeta Wyborcza” 4-5 VIII 2012.

¹⁴⁶ R. N. Haass, *Why Europe no longer matters*; www.washingtonpost.com/opinions/why-europe-no-longer-matters/2011/06/15/AG7eCCZH_story_1.html

¹⁴⁷ Szef NATO dla „Gazety”: *Europa może przestać się liczyć...*

ny były to głosy krytyczne wobec takiego przewartościowania priorytetów amerykańskiej polityki zagranicznej – rozczarowanie i niezadowolenie zapanowało zwłaszcza wśród sojuszników europejskich¹⁴⁸. Ale też w samej Ameryce dowodzono, że Europa mimo wszystko nadal pozostaje najważniejszym zobowiązaniem Stanów Zjednoczonych w zakresie bezpieczeństwa, a układ transatlantycki czynnikiem rangi i znaczenia obu jego członów. Poddawano natomiast w wątpliwość realne możliwości Chin przekształcenia potencjału gospodarczego w znaczenie polityczne oraz chińskie aspiracje i prawdopodobieństwo odgrywania dominującej roli w regionie¹⁴⁹. Pojawiły się też opinie, że być może arabska wiosna stwarza dziś największą szansę dla strategii Stanów Zjednoczonych – perspektywę realizacji amerykańskiego „posłannictwa” i zbudowania na zupełnie nowych zasadach relacji Ameryki ze światem muzułmańskim. W przeciwnym razie, pozbawiony amerykańskiego zainteresowania i zaangażowania ten region świata zdominowany zostanie przez fundamentalizm islamski.

Z drugiej jednak strony utrzymywało się silne przekonanie, że największym wyzwaniem dla polityki Waszyngtonu będzie nieodwołalnie region Azji, z dwoma rosnącymi w potęgę państwami: Chinami oraz Indiami, z przesuwającym się centrum gospodarczym z Zachodu na Wschód, silnym rozbudzeniem politycznym w świecie (*global political awakening* – jak pisał Z. Brzeziński)¹⁵⁰. Przewidywano, że już wkrótce dynamikę współczesnego świata będą kształtować pełne napięcie, ale i wzajemnego uzależnienia stosunki Stanów Zjednoczonych z Chinami, które brytyjski historyk Niall Ferguson nazwał „Chimeryką”. Prognozowano skuteczną ekspansję Chin, przywołując – zdawało się zarezerwowane dla Ameryki – pojęcie *soft power*. Chińskie inwestycje zagraniczne, stanowiące element „miękkiej siły”, są używane przez Pekin do wzmocnienia pozycji w świecie. Ta pomoc okazuje się szczególnie atrakcyjna dla państw biednych i słabych, gdyż nie wymaga ona demokratyzacji, rozliczania się z subwencji ani nawet rozsądnej polityki gospodarczej, jak czynią to zdominowane przez USA instytucje międzynarodowe, takie jak Bank Światowy czy Międzynarodowy Fundusz Walutowy.

Do tego wszystkiego Ameryka musi się przygotować, zmieniając priorytety swej polityki i dokonując „zwrotu ku Pacyfikowi”. Dlatego powinna wzmocnić swe zobowiązania polityczne i wojskowe w tym regionie świata, odświeżyć istniejące sojusze i porozumienia (*APEC, ASEAN*), sfinalizować nowe (oprócz ratyfikowanego już *U.S.-Korea Free Trade Agreement*, także *Trans-Pacific Partnership*). Twierdzono, że moment ku temu jest optymalny, gdyż aspiracje Pekinu budzą coraz większe zaniepokojenie, a to że Chiny są głównym i najważniejszym partnerem handlowym w tym regionie, wcale nie musi oznaczać,

¹⁴⁸ J. Dempsey, *Munich Calling: The Seas of South-East Asia*, 2012/01/23, www.securityconference.de/program.425+M548f0d52261.0.html.

¹⁴⁹ R. Kagan, *Not Fade Away: Against the Myth of American Decline*, „The New Republic” 17 I 2012.

¹⁵⁰ Zob. Z. Brzeziński, *Strategic Vision*...s. 16 i n.

że automatycznie są pożądanym strategicznym sojusznikiem¹⁵¹. W takiej sytuacji Ameryka, ze swoim doświadczeniem i nadal pokaźnym potencjałem, jawi się jako jedyna przeciwwaga dla Chin Ludowych i gwarant bezpieczeństwa wielu państw regionu Pacyfiku¹⁵², podobnie jak było to kiedyś na kontynencie europejskim i w odniesieniu do zagrożenia radzieckiego.

Jeśli z dyskusji toczącej się wokół amerykańskiej strategii wobec świata zmierzającego ku wielobiegunowości można było wysnuć jakiś wniosek, odnoszący się do relacji transatlantyckich, to pozostała nim teza o zmianie amerykańskiej orientacji politycznej, dokonanej przez administrację Obamy – z atlantyckiej na azjatycką¹⁵³. Była ona efektem pojawienia się nowych potęg w świecie i przesuwania punktu ciężkości ku Azji. Ale wpłynęła na to również konstatacja faktu, że kontynent europejski przestał być – zwłaszcza w zakresie bezpieczeństwa – regionem o pierwszorzędym znaczeniu. Ponadto utrzymująca się asertywność partnerów europejskich wobec amerykańskich oczekiwań i sugestii, rozczarowująca dla administracji Obamy, ułatwiła zmianę orientacji. Trudno wprawdzie dzisiaj przesądzić, czy było to już definitywne przewartościowanie priorytetów amerykańskiej strategii zewnętrznej, niewątpliwie jednak zapowiadany zwrot ku Pacyfikowi nie służył wzmocnieniu układu transatlantyckiego. Raczej potęgował frustrujące dla wielu Europejczyków i niektórych Amerykanów wrażenie o nieuchronnym rozchodzeniu się dróg Europy i Stanów Zjednoczonych.

Bilansując politykę Stanów Zjednoczonych wobec Europy w okresie pierwszej kadencji Baracka Obamy należy podkreślić, że jednym z jej głównych wyznaczników był stopień gotowości Starego Świata do pełnienia roli ważnego gracza na arenie międzynarodowej, skutecznego partnera, którego Ameryka potrzebowała w świecie zmierzającym ku wielobiegunowości i targanym różnymi problemami. Wprawdzie administracja Obamy, stawiając na dialog i konsultacje, odwołując się do walorów *soft power*, rozpoczęła nowy, w porównaniu z prezydenturą G. W. Busha, znacznie lepszy etap w relacjach z Europą, jednak prezentując silniejszy pragmatyzm, apelowała o dzielenie się obowiązkami i większą aktywność europejskich sojuszników w podejmowaniu wyzwań współczesności. Na tej płaszczyźnie Europa – z różnych względów – nie spełniła oczekiwań Waszyngtonu. Pozostała – z amerykańskiej perspektywy

¹⁵¹ Zob. *The Rise or Fall of the American Empire*, by D. W. Drezner, G. Rachman, R. Kagan, www.foreignpolicy.com/articles/2012/02/14/the_rise_or_fall_of_the_american...

¹⁵² R. Kagan, *The World America Made*, New York 2012, s.; także Z. Brzeziński, *Strategic Vision...*, s. 184 i n.

¹⁵³ Wielce wymowny był fakt, że w pracy, bilansującej politykę zagraniczną pierwszej kadencji prezydentury Obamy pt. *Bending History*, nie znalazł się ani jeden rozdział poświęcony czy to stosunkom z Europą, problemom wspólnoty transatlantyckiej, czy kwestiom NATO. Natomiast obszerna część pierwsza, zatytułowana *Emerging Power: China*, jest wyczerpującą analizą głównego – jak należy rozumieć – zagadnienia, z którym musi się zmierzyć amerykańska polityka, tj. rosnącej potęgi Chin (M. S. Indyk, K. G. Lieberthal, M. E. O'Hanlon, *op. cit.*, *passim*).

– dość zróżnicowana, niezdecydowana i zbyt asertywna. Z kolei wiele państw europejskich rozczarowały niektóre gesty i działania Waszyngtonu. Gdy w orbicie amerykańskiej koncyliacyjnej polityki znalazła się Rosja, spowodowało to nowe napięcia i spory. A przede wszystkim nastąpiło osłabienie zaufania do Waszyngtonu w stolicach państw Europy Środkowo-Wschodniej.

Zmieniające się realia geopolityczne początku XXI w. – pojawienie się nowych potęg, dysponujących różnymi atutami – to kolejny wyznacznik amerykańskiej polityki wobec Europy. W efekcie dla Stanów Zjednoczonych kontynent europejski przestał być regionem o pierwszorzędym znaczeniu. Konieczność konkurowania z innymi siłami na geopolitycznym rynku, w tym szczególnie z Chinami, spowodowała „zwrot ku Pacyfikowi”, który stał się jednym z ważniejszych trendów w amerykańskiej polityce zagranicznej ostatnich lat. Trudno dzisiaj przesądzić, czy oznacza on już generalną i długotrwałą zmianę orientacji – z atlantyckiej na Pacyfik, czy jest tylko taktycznym zabiegiem, zastosowanym w danej sytuacji. Niemniej jednak nie służył on wzmocnieniu układu transatlantyckiego. Nawet wspólna misja w Afganistanie i interwencja zbrojna w Libii zasadniczo nie poprawiły jego kondycji.

Tak więc z jednej strony mieliśmy poczucie marginalizacji Europy w globalnej polityce Stanów Zjednoczonych, z drugiej zaś – utrzymującą się inercję państw europejskich w odniesieniu do wielu wyzwań i problemów, rozczarującą dla administracji Obamy. Wspólnocie transatlantyckiej nadal brak było mocnego impulsu i poczucia sensu istnienia. Skutkiem tego powstało wrażenie dalszego, wzajemnego oddalania się Europy (Unii Europejskiej) i Stanów Zjednoczonych.

CZASOPISMA INSTYTUTU ZACHODNIEGO

- „Biuletyn Instytutu Zachodniego”
- „Przegląd Zachodni”
- „Siedlisko”
- „WeltTrends. Zeitschrift für internationale Politik”

KSIĄŻKI INSTYTUTU ZACHODNIEGO

2009

- Tomasz Budnikowski, *Bezrobocie wyzwaniem współczesności*, 351 ss., cena 35 zł
- Marta Götz, *Atrakcyjność klastra dla lokalizacji bezpośrednich inwestycji zagranicznych*, 398 ss., cena 39 zł
- Krzysztof Malinowski, *Przemiany niemieckiej polityki bezpieczeństwa 1990-2005*, 655 ss., cena 40 zł
- Moje Niemcy – moi Niemcy. Odpominania polskie*. Praca zbiorowa pod red. Huberta Orłowskiego, 574 ss., cena 45 zł
- Transformacja w Polsce i w Niemczech Wschodnich – próba bilansu*. Praca zbiorowa pod red. Andrzeja Saksona, 331 ss., cena 30 zł

2010

- Piotr Eberhardt, *Migracje polityczne na ziemiach polskich (1939-1950)*, 264 ss., cena 30 zł
- Maria Tomczak, *Ewolucja terroryzmu. Sprawy – metody – finanse*, 297 ss., cena 35 zł

2011

- Joanna Dobrowolska-Polak, *Ludzie w cieniu wojny. Ludność cywilna podczas współczesnych konfliktów zbrojnych*, 224 ss., cena 25 zł
- Gospodarka niemiecka 20 lat po zjednoczeniu*. Praca zbiorowa pod red. Tomasza Budnikowskiego, 238 ss., cena 30 zł
- Radosław Grodzki, *Problemy bezpieczeństwa Czech, Polski i Węgier w kontekście poszerzania NATO*, 368 ss., cena 30 zł
- Jadwiga Kiwerska, Bogdan Koszel, Maria Tomczak, Stanisław Żerko, *Polityka zagraniczna zjednoczonych Niemiec*, 399 ss., cena 35 zł
- Polski Ziemie Zachodnie. Studia socjologiczne*. Praca zbiorowa pod red. Andrzeja Michalaka, Andrzeja Saksona, Zanety Stasienuk, 288 ss., cena 30 zł
- Andrzej Sakson, *Od Kłajpedy do Olsztyna. Współcześni mieszkańcy byłych Prus Wschodnich: Kraj Kłajpedzki, Obwód Kaliningradzki, Warmia i Mazury*, 828 ss., cena 45 zł
- Stabilizacja nieładu i destabilizacja ładu*. Praca zbiorowa pod red. Joanny Dobrowolskiej-Polak, 262 ss., cena 25 zł

2012

- Bogdan Koszel, Krzysztof Malinowski, Zbigniew Mazur, *Niemiecka polityka wobec Polski 1990-2010*, 344 ss., cena 35 zł
- Solidarność humanitarna*. Praca zbiorowa pod red. Joanny Dobrowolskiej-Polak, 260 ss., cena 25 zł
- Stosunki gospodarcze między Polską a Niemcami 20 lat po zjednoczeniu*. Praca zbiorowa pod red. Piotra Kalki, 200 ss., cena 25 zł



INSTYTUT ZACHODNI

61-854 Poznań, ul. Mostowa 27

tel. 61 852 76 91

tel 61 852 28 54 (wydawnictwo)

fax 61 852 49 05

e-mail: wydawnictwo@iz.poznan.pl

www.iz.poznan.pl

ISBN 978-83-61736-43-1